Ludmiła Maria z Dąbrowskich Moszoro

WSPOMNIENIA
1939-1945

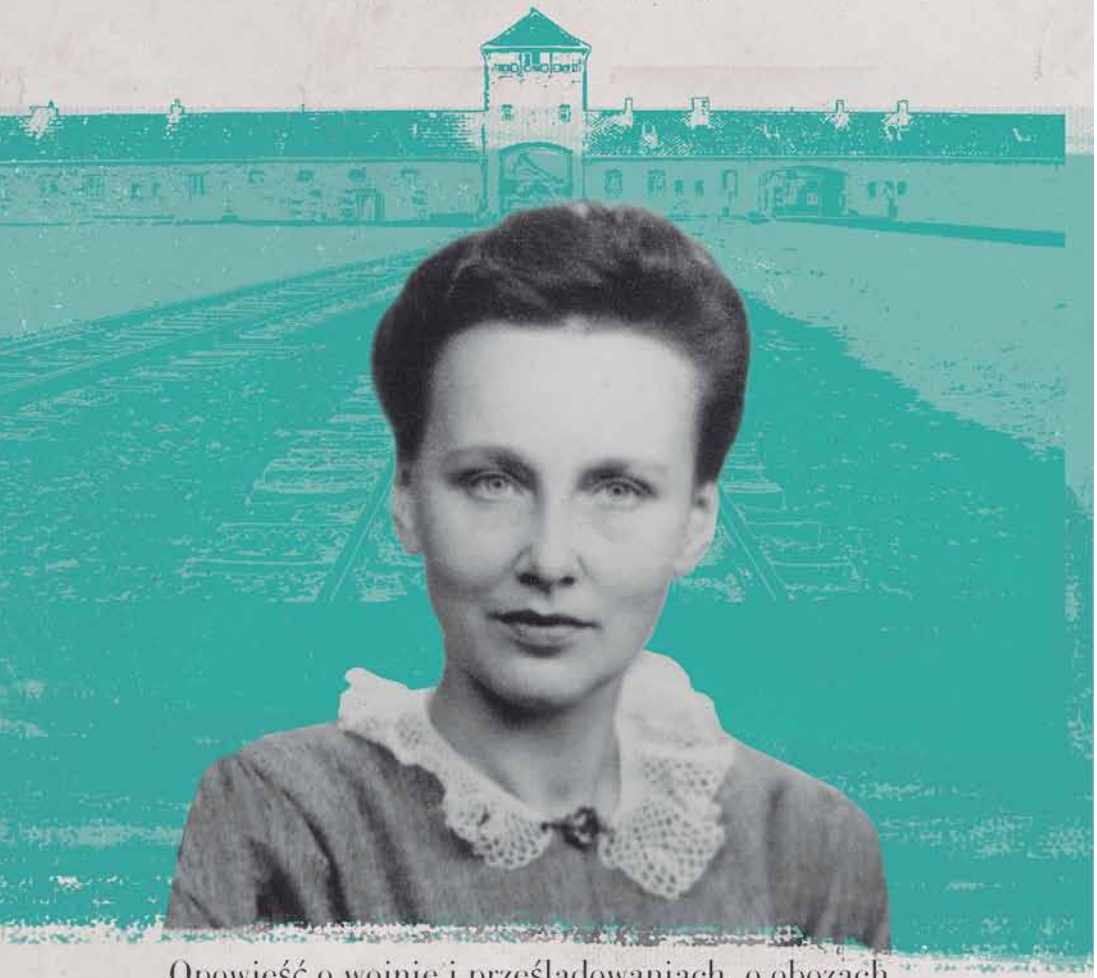

Opowieść o wojnie i prześladowaniach, o obozach koncentracyjnych (w tym Oświęcimiu) i o bolesnym zakończeniu II wojny światowej

EDITORIAL DUNKEN

Ludmiła Maria z Dąbrowskich Moszoro

WSPOMNIENIA
1939-1945

Opowieść o wojnie i prześladowaniach, o obozach
koncentracyjnych (w tym Oświęcimiu)
i o bolesnym zakończeniu II wojny światowej

Tłumaczenie

WYDAWNICTO: EDITORIAL DUNKEN
Buenos Aires
2016

Dąbrowskich Moszoro, Ludmiła Maria z
Wspomnienia 1939-1945 / Ludmiła Maria z Dąbrowskich Moszoro.
1a ed. - Ciudad Autónoma de Buenos Aires: Dunken, 2016.
152 p. ; 23 x 16 cm.

ISBN 978-987-02-9107-7

1. Narrativa. 2. Autobiografías. I. Título.
CDD A863

Tytuł oryginału hiszpańskiego:
MEMORIAS 1939-1945
Relatos sobre la guerra y las persecuciones, los campos de concentración –inclusive Auschwitz– y el traumático final de la contienda mundial

Tłumaczenie:
Maria Skibińska

Opracowanie graficzne:
Maria Luz Preumayr
hola@luzpreumayr.com – Rosario – Argentina

Wydrukowany przez: Editorial Dunken
Ayacucho 357 (C1025AAG)
Tel/fax: 4954-7700 / 4954-7300
E-mail: *info@dunken.com.ar*
Wydrukowano w Argentyne
Strona web: *www.dunken.com.ar*

Zrobiono depozyt wymagany przez ustawę 11. 723
Wydrukowano w Argentynie
© 2016 Ludmiła Maria z Dąbrowskich Moszoro
e-mail: B.Moszoro@hotmail.com
ISBN 978-987-02-9107-7

PRZEDMOWA DO WYDANIA POLSKIEGO

Tłumaczenie na język Polski zostało zrobione wiele lat temu. Zostało też przeczytane i poprawione prze autorkę.

Niestety, najpierw choroba naszej siostry, która zmarła w sierpniu 2011r. w wieku 61 lat, a potem stan zdrowia naszej matki po tym bolesnym rozstaniu się z osobą, która towarzyszyła jej i pomagała w życiu codziennym, opóźniło to wydanie.

Nasza ukochana matka zmarła 22 października 2012r. w dniu wspomnienia św. Jana Pawła II.

Do oryginału 1go i 2go wydania w Argentynie, dodaliśmy tylko przedmowę do wydania polskiego. Natomiast nie publikujemy aneksów dotyczących polskich strat w II wojnie światowej.

Książka jest wydana z myślą, że „Może posłuży komuś do zastanowienia się nad tymi sprawami, być może ułatwi mu rozeznanie i wybór wartości wiodących w życiu, być może ożywi w nim szlachetne postawy, a nawet… powiększy miłość bliźniego" jak napisała nasza matka w pierwszym wydaniu.

Synowie: Antoni, Bartłomiej i Stefan Moszoro

PRZEDMOWA AUTORKI DO WYDANIA POLSKIEGO

Słowo pisane, słowo wypowiedziane zawiera rzeczywistość naszego życia, prezentuje je na różnych płaszczyznach naszego bytowania. Jak chętnie posługujemy się nim, aby podzielić się z czytelnikiem, czy słuchaczem odkrywaniem naszej codzienności, ale też wszystkiego, co kiełkuje w naszym umyśle i sercu.

Pisząc ten wstęp do polskiej wersji mych „Memorias 1939-1945", książki wydanej dwukrotnie w Argentynie, pragnę uzasadnić moją decyzję. Książka ta w języku hiszpańskim cieszyła się dużym zainteresowaniem wśród czytelników. Wśród nich znaleźli się entuzjaści, którzy namówili mnie, aby wydać książkę w tłumaczeniu na język polski, nalegając specjalnie o zachowanie jej całego i oryginalnego tekstu.

Przyczyniam się do tego nie tylko z chęcią, ale też i z wielkim zadowoleniem. Wszak, będąc oddalona od ziemi ojczystej i dokonujących się tam nowych wydarzeń światowych, zawsze wspominam ją zgodnie z gorącym jej umiłowaniem, jej wspaniałą kulturą, tradycją... To wszystko przekazuję swoim dzieciom i wnukom, przekonana, że jej wierne pielęgnowanie nadal naprowadzać będzie na życie godne i pomyślne, ugruntowane w doświadczeniach pokoleń.

LUDMIŁA MARIA Z DĄBROWSKICH MOSZORO

UWAGI DO DRUGIEGO WYDANIA
(w języku hiszpańskim)

Zachęcana do tego przez licznych czytelników, podjęłam decyzję o druku drugiego wydania moich „Wspomnień".

Ta prosta książka wywołała zainteresowanie, dlatego że mówi o wielu mało znanych tematach i problemach. Komentarze każdego spośród czytelników dotyczyły spraw budzących jego osobisty niepokój, zadawano pytania, aprobowano wypowiadane opinie, chwalono, a nawet wyrażano wdzięczność.

Można jasno dostrzec zainteresowanie znajomością historycznych faktów z niezbyt odległej przeszłości. Przeszłości, która ukształtowała i określiła zasady egzystencji na całej planecie w drugiej połowie dwudziestego wieku i która w niezwykle istotny sposób wpływa na teraźniejszość.

W otaczającym nas chaosie poszukujemy tego co proste, co prawdziwe i co podstawowe. To co było, czyli „przeszłość", jest mistrzem mądrości, której tak bardzo potrzebujemy do szczęścia.

Drugie wydanie ukazuje się z kilkoma drobnymi poprawkami. Oddaję je w ręce argentyńskich czytelników z niezłomną nadzieją na szczęśliwą przyszłość Ojczyzny.

PRZEDMOWA, CZYLI KILKA SŁÓW OD AUTORKI

Przez kilkadziesiąt lat przyjaciele i znajomi namawiali mnie i zachęcali, żeby spisać wspomnienia. Zawsze odrzucałam ten pomysł, uważając, że istnieje mnóstwo wspomnień, że moje nie mogą wprowadzić do sprawy niczego szczególnie nowego i że moje przeżycia nie były również niczym nadzwyczajnym.

Z drugiej strony nie miałam ambicji pisania książek ani zdobywania sławy. Takie młodzieńcze fantazje zdecydowanie zniknęły już z moich planów.

Moja postawa stopniowo zmieniła się, kiedy na mojej drodze stanęła Evangelina del Forno[1]. Nie znałyśmy się, ale ktoś opowiedział jej moje koleje losu. Wysłała do mnie kilka listów i odwiedziła mnie nalegając, żebym napisała książkę o moim życiu. Pomysł ten popierały moje dzieci i wnuki i w końcu udało im się mnie przekonać!

Przede wszystkim ustaliłam zasady i normy pracy. Evangelina myślała, że nad tą książką można pracować tak, jak nad jej dziełami, na przykład jak nad książką o księdzu Brochero, gdzie temat okazał się pociągający, a zarazem folklorystyczny ze wzglę-

[1] Evangelina del Forno (30 XII 1930-9 VII 2007), argentyńska architekt, pisarka i dziennikarka, autorka *Pregonero del Amor* (1996) – historii argentyńskiego księdza Brochero (przyp. tłum.).

du na opisywane miejsce i ludzi oraz wybitną postać bohatera. Praca nad tamtą książką oznaczała dla niej opracowywanie materiałów na piśmie i nagrań, a także opowiadanie dobrze znanych historii, w jakiś sposób „własnych".

Książka, o którą nam teraz chodziło, miała jednakże dotknąć tematów z innych czasów i z innego świata: obcych jej poprzedniemu życiu i wiedzy. Miała dotknąć problemów złożonych, a zarazem fundamentalnych, dotyczących życia wielu osób, a nawet całych narodów. Ostatecznie z tego powodu musiałam sama napisać te wspomnienia. Evangelinie przypadło w udziale zachęcanie i podtrzymywanie mnie na duchu, dlatego że nie zawsze miałam ochotę pisać dalej… Przede wszystkim wiele kosztowało mnie ponowne przeżywanie przeszłości. Rolą Evangeliny było również poprawianie mojej hiszpańszczyzny. Z drugiej strony, rozmowy z nią pomogły mi zająć właściwą pozycję, tak, aby opowiedzieć o wszystkim w przystępnej formie przyszłym czytelnikom na tych szerokościach geograficznych.

Ten wspólny wysiłek zbliżył nas osobiście, przyczyniając się do pięknej przyjaźni. Dziękuję bardzo, Evangelino!

Tym, czego brakowało mi najbardziej w każdej chwili podczas pisania tych wspomnień, była obecność mojego męża, który zmarł kilka miesięcy wcześniej. Jego dobra pamięć pomagała mi bardzo często w najróżniejszych okolicznościach naszego długiego

wspólnego życia. Z pewnością on również cieszyłby się na widok mojego dzieła.

Świadomie unikałam szczegółowych opisów barbarzyństwa i okrucieństwa obydwu totalitaryzmów. Uważam, że powtarzanie tego byłoby przesadą. Wystarczy już graficznych, wszelkiego rodzaju audiowizualnych i literackich świadectw pokazywanych codziennie, aby przestraszyć ludzi.

Teraz kończę tę pracę zadowolona, że ją wykonałam. Może posłuży komuś do zastanowienia się nad tymi sprawami, być może ułatwi mu rozróżnienie wartości, być może ożywi w nim szlachetne postawy, a nawet… powiększy miłość do bliźniego!

Moje wnuki z pewnością mnie nie zawiodą. Przeczytają książkę i opowiedzą ją z kolei swoim dzieciom. Żywię nadzieję, iż mimo nieszczęść dwudziestego wieku, ogólnej dekadencji i niewątpliwych niebezpieczeństw, mają przed sobą przyszłość. Wierzę w siły witalne cywilizacji łacińskiej, która przez dwa tysiące lat wzniosła Europę na szczyt kulturalnego rozwoju dla dobra wszystkich narodów świata. Wierzę w przyszłość!

PROLOG
WYDARZENIA HISTORYCZNE POPRZEDZAJĄCE WOJNĘ

Druga wojna światowa wybuchła 1 września 1939 roku, kiedy to nastąpił niemiecki napad zbrojny na Polskę bez wcześniejszego wypowiedzenia wojny. Zamienił się w wojnę błyskawicznie. Bardzo szybko – 17 września – miał miejsce zdradziecki cios w plecy ze strony Związku Sowieckiego. Z obydwoma sąsiadami Polska miała podpisane oddzielne układy o nieagresji.

W ten sposób obie armie zajęły terytorium Polski – jedna od zachodu, a druga od wschodu. Bohaterskie oddziały Wojska Polskiego walczyły bez szans na wygraną wobec przeważających pod względem liczebnym i technicznym sił Trzeciej Rzeszy i ZSRR.

Należy wspomnieć przyczyny, które sprawiły, że tyle państw zostało uwikłanych w walkę przeciwko państwom Osi (Niemcy, Włochy i Japonia). W tym celu musimy cofnąć się o trzy dekady – do pierwszej wojny światowej.

Wybuchła ona między państwami centralnymi: (Niemcami, Austro-Węgrami i Turcją oraz Ententą, czyli Francją, Wielką Brytanią i Rosją), a do wojny przystąpiły później Stany Zjednoczone. U podstaw konfliktu leżało niemieckie pragnienie opanowania mórz, w tym morskich szlaków do swoich kolonii. W

ten sposób Niemcy rozpoczęły wojnę, pragnąc hegemonii nad Francją i Wielką Brytanią.

Pierwsza wojna światowa trwała od sierpnia 1914 do listopada 1918 roku, kończąc się klęską Niemiec. Konflikt podzielił państwa europejskie i przyniósł nową mapę Europy. Upadły cztery potęgi: Imperium Otomańskie, carska Rosja (gdzie wówczas panowała rodzina Romanowów), Austro-Węgry Habsburgów i Niemcy Hohenzollernów.

Traktat Wersalski, podpisany 28 czerwca 1919 roku przywracał suwerenność wielu państwom, które w jakimś momencie utraciły swoją niepodległość na rzecz upadających imperiów. Niektóre postanowienia tego traktatu miały na celu zamknięcie drogi do kolejnej wojny, zabraniając Niemcom możliwości uzbrojenia, posiadania armii, rozwoju przemysłu zbrojeniowego i w ten sposób „zahamowania" imperialistycznych dążeń narodu niemieckiego i jego rewanżyzmu.

Republika Weimarska, nowe państwo niemieckie, znalazła się, podobnie jak inne kraje europejskie, w trudnej sytuacji społeczno-ekonomicznej. Na czele rewolucyjnych ruchów w tamtym okresie pojawiła się postać Adolfa Hitlera, który został uwięziony w 1923 roku. W więzieniu napisał swoją słynną książkę *Mein Kampf* („Moja walka"). W niej przedstawił pełny program związany ze swoimi politycznymi planami. Nikt na świecie nie brał tych planów poważnie, ale niestety spełniły się bardzo dokładnie, będąc blisko ogromnego zwycięstwa.

Na czele Republiki Weimarskiej, po abdykacji Wilhelma II Hohenzollerna stał prezydent Hindenburg, słynny generał z czasów pierwszej wojny światowej. To on mianował Adolfa Hitlera kanclerzem w 1933 roku. Ruchy rewolucyjne i akty terroryzmu spowodowały straszny pożar Reichstagu, niemieckiego parlamentu w Berlinie. Kiedy zmarł Hindenburg, Hitler przejął pełnię władzy i podporządkował sobie różne autonomiczne landy niemieckie. Zakładając Trzecią Rzeszę kontynuował politykę Bismarcka. Jego partia polityczna nosiła nazwę narodowo-socjalistycznej i wywodziła się z partii socjaldemokratycznej, co oznacza, że jej korzenie były takie same jak korzenie partii mieńszewików, rywala bolszewików, w carskiej Rosji.

Ideologia narodowego socjalizmu opierała się na koncepcjach rasistowskich (uznanie wyższych i niższych ras), na powrocie do bożków i bóstw z germańskiej przeszłości w walce przeciwko tym, którzy nie pochodzili z rasy aryjskiej (Żydzi i Cyganie) oraz przeciwko Kościołowi katolickiemu. Ambicje opanowania świata zaprowadziły Hitlera podczas drugiej wojny światowej nad wybrzeże atlantyckie na zachodzie, na Półwysep Krymski na południowym wschodzie Europy i na Kaukaz, do rzeki Wołga oraz do wrót Moskwy na wschodzie.

Interesujące jest to w jaki sposób Niemcy zdołały się uzbroić, skoro zabraniały tego wprost postanowienia Traktatu Wersalskiego.

Już w latach dwudziestych Niemcy, w tajnym porozumieniu z komunistyczną Rosją, w zamian za to, że jako pierwsze państwo uznały ją na arenie międzynarodowej, wykorzystywały rosyjskie terytorium i poligony do ćwiczeń wojskowych. Wojna domowa w Hiszpanii dała totalitaryzmom szansę wypróbowania wydajności uzbrojenia i taktyki wojennej. W rzeczywistości komunistyczna Rosja dokonała próby sił między Stalinem, a jego śmiertelnym wrogiem Trockim. Ten ostatni, przywódca rewolucji bolszewickiej, odsunięty na margines władzy w Rosji, wzniósł swoją twierdzę w Hiszpanii. Ta niezwykle krwawa próba przechyliła szalę na korzyść Stalina.

Hitler odbudował przemysł wojskowy stosując strategię udawania. Potrafił na przykład przekształcić fabrykę masła w przedsiębiorstwo produkujące sprzęt wojskowy. W 1936 roku otwarcie pogwałcił Traktat Wersalski i zajął Nadrenię, dokonując jej militaryzacji. W 1938 roku Austriacy, w narodowym referendum, poparli zjednoczenie (*Anschluß*) z Niemcami. W tym samym roku Hitler zajął część Czechosłowacji – Sudety, a na wiosnę 1939 roku zrobił to samo z Czechami i Morawami, co oznaczało, że w pełni zainstalował się w Czechosłowacji.

Pod koniec 1938 roku miała miejsce słynna konferencja monachijska. Podczas niej przedstawiciele aliantów zawarli układ z Hitlerem, przyjmując jego pokojowe obietnice. W imieniu Anglii występował Chamberlain, Francję reprezentował minister Daladier, Włochy – Mussolini, a Niemcy – Hitler. Bez-

użyteczność tej konferencji, naiwność aliantów, a być może ich słabość lub strach, ujawniły się bardzo szybko.

Liga Narodów założona w Genewie po pierwszej wojnie światowej nie przyniosła spodziewanego rezultatu. Nie udało jej się przeszkodzić ani rozbudzeniu niemieckiego imperializmu, ani sowieckiej ekspansji, ani ambicjom Mussoliniego, ani też niepohamowanym dążeniom Japończyków. Aby zaatakować Polskę, Hitler usiłował osiągnąć przyzwolenie ZSRR i odniósł sukces. Minister Rzeszy Ribbentrop podpisał z sowieckim komisarzem spraw zagranicznych Mołotowem tajny układ w sierpniu 1939 roku. I tak ZSRR stał się współodpowiedzialny za wybuch drugiej wojny światowej.

Rozdział I
WYBUCH WOJNY

Były ostatnie dni sierpnia 1939 roku, kiedy wracałam do Lwowa po wakacjach w górach. Pociąg był pełen ludzi nieco podnieconych niepokojącymi plotkami o wojnie. Od kilku miesięcy pojawiały się sprzeczne opinie: z jednej strony optymizm tych, którzy dawali wiarę obowiązywaniu układów o nieagresji, a z drugiej strony opinie wybitnych ludzi nauki i kultury, również opinie uczciwych polityków, którzy informowali o rzeczywistych wydarzeniach.

Rano 1 września 1939 roku pierwsze bomby spadły na cały kraj, włącznie ze Lwowem. Pamiętam śmierć koleżanki z podstawówki, córki rodziny zaprzyjaźnionej z moimi rodzicami, która mieszkała bardzo blisko mnie. Wyszła na balkon, żeby zobaczyć, co się dzieje. Podmuch fali uderzeniowej zmiótł balkon, a ona, bardzo ciężko ranna, zmarła po kilku dniach. Niedługo miała skończyć studia pedagogiczne.

Dla mnie w ten właśnie, niezwykle bolesny sposób rozpoczęła się wojna!

Już od czwartej rano Polska została zaatakowana przez Wehrmacht, czyli niemieckie siły zbrojne. W części zachodniej wybuchły zacięte walki wzdłuż całej granicy. Nieprzyjacielskie wojska zdobywały teren…

Rząd zalecał ludziom, aby chronili się na wschodzie kraju. Wraz z zaprzyjaźnioną rodziną udaliśmy się do gospodarstwa znajdującego się na południowy wschód od Lwowa, w pobliżu Brzeżan. Każdego dnia przybywało coraz więcej ludzi, którzy uciekali ze swoich miejsc zamieszkania w poszukiwaniu bezpiecznego miejsca.

Wtedy też do naszego gospodarstwa przybyli piloci z lotniska we Lwowie którzy, zgodnie z poleceniami swoich przełożonych byli w drodze opuszczenia kraju. Opowiadali, że kiedy udali się na poszukiwanie amunicji, znaleźli w opakowaniach tylko wyposażenie treningowe na poligon, czyli ślepą amunicję. Było to sabotażowe działanie tak zwanej piątej kolumny Wehrmachtu. Chodziło o obywateli pochodzenia niemieckiego (czyli mniejszość niemiecką w Polsce), którzy przez lata zajmowali się szpiegostwem i sabotażem.

W tym pełnym napięcia stanie, doczekaliśmy połowy września. W przeddzień siedemnastego września słuchaliśmy przez radio rozkazów w języku rosyjskim nakazujących siłom zbrojnym ZSRR przekroczenie granicy sowiecko-polskiej. Oznaczało to, że Stalin ręka w rękę z Hitlerem zaatakował Polskę. Po zmroku zobaczyliśmy na horyzoncie łunę pożogi w przygranicznych wioskach. Tak zainicjowany został drugi front tej wojny – front wschodni. W ten sposób Polska znalazła się między dwoma frontami. To nie było jednak jeszcze wszystko. Musieliśmy na dodatek chronić się przed trzecim niebezpieczeństwem.

Od połowy dziewiętnastego wieku ludność ruska tych ziem, która przez sześć wieków żyła z Polakami w zgodzie, była podburzana, opłacana i organizowana przez Austriaków i Niemców zgodnie z zasadą *divide et impera*.

Wykorzystując sytuację, w której znalazła się Polska, ruszyły do walki różne ekstremistyczne grupy ukraińskie (niektóre z nich bezpośrednio tworzyły jednostki hitlerowskich SS), uzbrojone i wyszkolone przez niemieckich wojskowych. Zaatakowały polskie gospodarstwa, majątki, folwarki i domy.

Bladym świtem zabraliśmy najpotrzebniejsze rzeczy i przenieśliśmy się do Brzeżan. Następnego dnia, na opustoszałych ulicach miasteczka pojawili się pierwsi milicjanci z karabinami i czerwonymi opaskami, w większości Żydzi będący członkami tak zwanych *jaczejek*, nielegalnych komórek Komunistycznej Partii Polski. Były to pierwsze oznaki działającej władzy komunistycznej.

W ciągu kilku godzin wjechały sowieckie czołgi, opanowując ulice i okolice miasta. Tak Polacy znaleźli się w nowej rzeczywistości historycznej, która miała napisać jedne z najbardziej tragicznych stron ich egzystencji.

Dużo płakałam, wszyscy płakali. Trzeba było jednak wytrzeć łzy i pozwolić, żeby płakało tylko serce. Cały naród i każdy z jego członków musiał stać się silny, bardzo silny, niczym podpora dla innych, dlate-

go że walka trwała. Rozpoczynała się ponownie przy pomocy innej broni i na innych zasadach.

Rozdział II
ARESZTOWANIA I DEPORTACJE

Rosjanie okupowali wschodnią część terytorium Polski, aż do rzek San i Bug. Niemcy zajęli dwie trzecie na zachodzie i anektowały strefę przygraniczną do Trzeciej Rzeszy. Z reszty, włącznie z Warszawą, utworzyły autonomiczną Generalną Gubernię pod niemieckim zarządem.

W drugiej połowie września trwały krwawe walki na obu frontach. Na odcinku północnym frontu sowieckiego Polacy przegrali bitwy i bolszewicy wzięli wiele tysięcy jeńców wojennych. Na południu niektóre w pełni wyposażone oddziały Wojska Polskiego z rozkazu rządu schroniły się na Węgrzech, zaś sam rząd w odwrocie schronił się w Rumunii. Nasza grupa obserwowała ten smutny przemarsz z głębokim bólem.

Opór w różnych częściach całej Polski trwał do końca października. Wraz z upadkiem Warszawy został przypieczętowany tak zwany czwarty rozbiór Polski (po 1772, 1793 i 1795 roku).

W pierwszych dniach października powróciliśmy do Lwowa. Zabierając trochę rzeczy, jechaliśmy cały dzień na wiejskim wozie ciągniętym przez konie. Towarzyszył nam jesienny deszcz i powszechny smutek.

Lwów był pełen ludzi. Liczba mieszkańców wzrosła z trzystu pięćdziesięciu tysięcy do ponad miliona.

Zatrzymałam się bezpośrednio w domu zaprzyjaźnionej rodziny, z którą przyjechałam. Następnego dnia otrzymałam ostrzeżenie: w domu szukała mnie komunistyczna policja polityczna, okryte smutną sławą NKWD. Mogli mnie wkrótce znaleźć. Przeszukiwali miasto dom po domu.

Dowiedzieliśmy się wówczas, jak szybko działa służba bezpieczeństwa Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Nas - studentów - poszukiwali za to, że wyróżnialiśmy się na uczelni. Aresztowali wielu spośród moich kolegów i koleżanek. Było oczywiste, że mieli listy, przygotowane wcześniej przez nielegalne komórki komunistyczne.

Aresztowali zwykłych policjantów, żołnierzy sił zbrojnych, nauczycieli i wykładowców uniwersyteckich, kapłanów i intelektualistów, słowem wszystkie żywotne siły społeczeństwa. Ich siatka informacyjna dostarczała im szybko danych na temat budynków, domów i miejsc pracy, gdzie znajdowali poszukiwanych.

Warto zrobić tutaj dygresję i spojrzeć na to, co w tym samym okresie, kiedy Stalin rozpoczynał eksterminację Polaków w sowieckiej strefie okupacyjnej, działo się po drugiej stronie linii demarkacyjnej. Co robiły władze niemieckie w okupowanej przez nie części Polski?

W listopadzie wezwały wszystkich profesorów wiekowego Uniwersytetu Jagiellońskiego, niektórych spośród nich cieszących się światową sławą, na ważne spotkanie do Wiśnicza. Stąd siłą wywieźli ich do obo-

zu koncentracyjnego w Oranienburgu, w Niemczech. Niewielu przeżyło to „spotkanie". Na placach okupowanych miast, Niemcy masowo rozstrzeliwali osoby szukane dom po domu. Wyrzucali ludzi z mieszkań bezpośrednio na ulicę. Całe rodziny, ograbione ze wszystkiego, musiały opuścić swoje rodzinne strony w poszukiwaniu schronienia i pomocy.

Rozdział III
MÓJ BRAT ZBYSZEK

W tym czasie przyjechał Zbyszek, mój jedyny brat. Oboje zamieszkaliśmy u jednej z ciotek, gdzie spędziliśmy razem nasze ostatnie Boże Narodzenie 1939 roku.

Musieliśmy wpisać się do księgi meldunkowej budynku. Poza tym Rosjanie zmuszali wszystkich mieszkańców do stawania przed odpowiednimi władzami w celu uzyskania nowych dokumentów tożsamości. Oczywiście w mojej sytuacji nie mogłam tego zrobić, a bez dokumentów nie mogłam otrzymać pracy. Jednym słowem nie mogłam żyć. W takiej samej sytuacji znajdowało się dużo ludzi.

22 października odbyło się obowiązkowe referendum w sprawie przyłączenia naszego województwa do Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Głosowanie było jawne i musieliśmy wziąć w nim udział, żeby nie wzbudzać podejrzeń kontrolującego wszystko NKWD.

W grudniu, z dnia na dzień, władze bez powiadamiania ludności zmieniły walutę wprowadzając rubla. Można sobie wyobrazić, jaki spowodowało to chaos przy istniejących wówczas trudnościach!

Tego roku zima była bardzo ostra. Temperatura wynosiła około 30 stopni poniżej zera. Pewnego razu

wychodząc z domu, zdołałam dojść tylko do rogu budynku. Nie mogłam oddychać i zawróciłam. Zaopatrzenie w artykuły pierwszej potrzeby stało się bardzo trudne. Długie kolejki przed sklepami spożywczymi powodowały utratę nie tylko czasu, ale i zdrowia.

Codziennie docierały do nas złe wiadomości o nowych aresztowaniach przyjaciół i znajomych, o przesłuchaniach, torturach i deportacjach. Razem z bratem zamierzaliśmy wyjechać za granicę, ale sprawy bardzo się już skomplikowały. Granice były dobrze pilnowane przez Armię Czerwoną i było rzeczą niemal niemożliwą nielegalne ich przekroczenie.

W lutym 1940 roku sytuacja moja i mojego brata uległa poważnej zmianie. 8 lutego NKWD po raz drugi przyszła pod mój dawny adres. Moja ciotka bardzo się przestraszyła. Od tamtej chwili każde z nas musiało szukać sobie mieszkania na własną rękę.

Wyjechałam do innych ciotek w Przemyślanach. Zdobyłam bilet czekając w ogromnej kolejce. Pociąg miał wybite szyby i było w nim prawie ciemno (o tej porze roku ściemnia się o czwartej po południu), ściśnięci ludzie cierpieli w milczeniu. Nie było wiadomo o której godzinie wyjedziemy ze stacji. Przybyłam na miejsce po godzinie policyjnej, nie miałam dokumentów i nie wiedziałam dokładnie, gdzie znajduje się ulica, przy której mieszkają moi krewni.

Nerwowe napięcie wywołało u mnie skutki psychosomatyczne – bóle w nogach, które musiałam

później leczyć okładami i dwu, trzydniowym odpoczynkiem.

W Przemyślanach, małym miasteczku, gdzie wszyscy się znali i gdzie też nie mogłam się czasowo zameldować, spędziłam tylko dwa tygodnie.

Po powrocie do Lwowa codziennie spałam w innym miejscu. Musiałam nawet spędzić jedną noc na otwartym polu, na śniegu, w wiejskiej chałupince z gliny. Latem mieszkała tam kobieta z krową. Ta przygoda nie miała w sobie nic malowniczego. Później zdobyłam stałe miejsce do mieszkania u pewnej bardzo zaprzyjaźnionej rodziny.

Mój brat bardzo dobrze sobie radził i w lutym zdecydował się opuścić Lwów i udać się na północ. Chciał dotrzeć do jakiegoś neutralnego kraju, w tym wypadku, Szwecji. Każde z nas zabrało dokumenty, które mogły mu być potrzebne. Reszta została pod opieką naszej ciotki. Podzieliliśmy również na dwoje rodzinną biżuterię. W dniu wyjazdu odprowadziłam brata na tramwaj, który jechał na dworzec.

Nie mogę wymazać z mojej pamięci smutnego spojrzenia jego błękitnych oczu. Pozostało w mojej pamięci do dzisiaj. Nigdy więcej go nie widziałam, nie udało mi się również dowiedzieć z całkowitą pewnością, jaki był jego los.

Jeszcze w lutym 1940 roku Rosjanie zaczęli masowe deportacje polskiej ludności do Kazachstanu i Uzbekistanu oraz na Syberię.

Pierwsze transporty dotknęły mieszkańców wołyńskiej wsi (centralnej części strefy okupowanej przez Rosjan). Oznaczało to zamiar rusyfikacji tych ziem poprzez ich zasiedlenie ludnością rosyjską.

W kwietniu napełniono trzy długie pociągi ludźmi ze Lwowa. Operacja odbyła się w nocy. Udawali się pod wskazany adres, wymieniali wybrane osoby i dawali im kilka minut na spakowanie rzeczy i zabranie ich ze sobą, jak również na pożegnanie się z krewnymi, domem i dobytkiem. Dotykało to krewnych osób już aresztowanych, krewnych członków sił zbrojnych, policji i tak dalej, i tak dalej.

Następnego ranka Lwów wydawał się opustoszałym miastem. Tragiczna noc naznaczyła oblicza tych niewielu osób, które przechodziły ulicami.

Ten miesiąc przyniósł również wielki niepokój o polskich jeńców wojennych w Rosji. Panowała ogromna niepewność, co do losu czternastu tysięcy pięciuset oficerów zawodowych i oficerów rezerwy, którzy zostali internowani w Katyniu, Charkowie, Bołogoje i Dergaczach. Przestały przychodzić listy od osób internowanych w tych miejscach. Jak się później okazało, niepokój ten był w pełni uzasadniony!

Dwa lata później, kiedy niemieckie wojska zajęły ten obszar, odkryły masowe groby wymordowanych oficerów. Polski rząd na uchodźstwie (w Londynie), i sami Niemcy powołali ekspertów z Czerwonego Krzyża w Szwajcarii, aby sprawdzili groby i doły i zidentyfikowali ciała. Było to konieczne, ponieważ

Rosjanie, z całkowitą bezczelnością, podtrzymywali, że ta potworna zbrodnia na ludzkości została popełniona przez Niemców. Polacy nigdy nie mieli wątpliwości co do sprawców zbrodni, znanej na świecie jako zbrodnia katyńska.

Po pięćdziesięciu latach, kiedy otwarto sowieckie archiwa, poznano dokument podpisany przez różnych członków Biura Politycznego, najwyższego politycznego organu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Związku Sowieckiego, nakazujący rozstrzelanie tych jeńców, pomimo że znajdowali się pod ochroną międzynarodowych praw wojennych. Zadaję sobie pytanie, czy sprawcy zbrodni przeciwko ludzkości popełnionych przez Związek Sowiecki i jego republiki nie powinni odpowiadać przed tak obecnie „modnym" trybunałem międzynarodowym? Czy są tacy, którzy są rzeczywiście nietykalni? A prawo? Budowa zdrowych stosunkow między narodami i współzależność między nimi, wołają o rzeczywistą sprawiedliwość.

W kwietniu okupant-uzurpator zlikwidował depozyty bankowe, co rozwiązało moją sytuację pod względem finansowym. Oczywiście oddali tylko połowę wartości depozytów. Druga połowa została skonfiskowana.

Pewnego wiosennego dnia poszłam z przyjaciółką zobaczyć, co dzieje się na uniwersytecie. Zastałyśmy otwarte na oścież drzwi, ale ani na korytarzach, ani na schodach, ani w salach nie znalazłyśmy „żywej duszy". Przeszłyśmy przez sale wydziału prawa. W jednej z nich odkryłyśmy katedrę i różne meble z

emblematami masońskimi. Można powiedzieć, że w ten sposób potwierdziły się krążące między ludźmi plotki: chociaż organizacja ta była w Polsce zakazana, wydawało się, że nie ma wątpliwości na temat jej faktycznego działania.

Napis na fasadzie uniwersytetu głosił już inną nazwę, napisaną cyrylicą po ukraińsku.

Rozdział IV
PRZELUDNIENIE LWOWA

Tymczasem do Lwowa przyjechała jedna z moich kuzynek z dwójką małych dzieci. Jej męża, zawodowego oficera Korpusu Ochrony Pogranicza (zajmującego się ochroną granicy polsko-sowieckiej), zmobilizowanego na front, nie było w domu. Ona przebywała w wiosce w strefie przygranicznej. Przerywając kordon graniczny, Armia Czerwona zajęła wioskę. Następnego dnia przyszli w nocy aresztować moją kuzynkę. W koszuli nocnej wyskoczyła przez okno i kryjąc się w mroku uciekła. Pomogli jej jacyś wieśniacy, dając jej schronienie i wykupując następnego dnia dzieci. Z dziećmi i z odrobiną dobytku przyjechała do Lwowa.

Władze stały przed rozwiązaniem palącego problemu przeludnienia miasta. Ci, którzy we wrześniu 1939 roku po namowach rządu dokonali samoczynnej ewakuacji przenosząc się do Lwowa, teraz mieli ochotę wrócić do swoich domów.

Po pierwsze zarejestrowano wszystkie dane osobowe i miejsce przeznaczenia osób starszych, dając im szansę powrotu pociągiem. Jednakże, zamiast pojechać na zachód, transport skierował się na wschód. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dokąd dotarł ani co się stało z tymi ludźmi. Niektórzy mówili, że jako pierwsi zostali wrzuceni do arktycznego Morza Barentsa.

Następnie Rosjanie utworzyli razem z Niemcami, komisję do spraw powrotu „uciekinierów". I tak, każdy mógł stawić się przed sowiecką komisją, przedstawić dokumenty i wyrazić pragnienie powrotu do miejsca zamieszkania. Po otrzymaniu pozwolenia udawał się przed niemiecką komisję i przy zachowaniu tej samej procedury mógł dostać drugie pozwolenie na wyjazd do określonego miejsca w strefie Polski okupowanej przez Niemców.

Moja kuzynka była zainteresowana uzyskaniem takiej przepustki, dlatego że w Łodzi miała całą swoją rodzinę ze strony ojca.

Tymczasem 25 maja grupa kolegów zorganizowała nocne czuwanie przed Najświętszym Sakramentem w kaplicy karmelitanek bosych w intencji Ojczyzny. Oczywiście było to nielegalne. Sporo osób uczestniczyło w błagalnych modlitwach grupowych i indywidualnych, uwieńczonych rankiem Mszą Świętą.

Nie wiem, w jaki sposób moja kuzynka dowiedziała się, gdzie może mnie znaleźć, ale czekała na mnie przy wyjściu. Przyniosła mi wiadomość: tej nocy NKWD było u mojej ciotki i szukało mnie i mojego brata. Przekazała mi również informacje gdzie i o której godzinie mogę spotkać się z moją ciotką, żeby dowiedzieć się o szczegółach.

Spacerując po ulicach tego pięknego i ukochanego miasta mojego dzieciństwa i młodości, słuchałam opowieści mojej ciotki. Trzech enkawudzistów ze stróżem przyszło głęboką nocą pod drzwi jej mieszkania. Szu-

kali nas obojga i pytali, gdzie jesteśmy. Ciotka znała rosyjski i odpowiedziała im, że nie wie, bo pokłóciła się ze mną. Rozgniewana, miotała na mnie przekleństwa. To ich wreszcie przekonało. Przynajmniej wydawało się, że jej uwierzyli. Albo pomyśleli: „na tym się sprawa nie kończy".

Kiedy moja ciotka dowiedziała się, gdzie spędziłam noc, utrzymywała, że z pewnością dzięki moim modlitwom udało jej się zachować taki spokój podczas rozmowy z NKWD. Do tej chwili nie umiała sama sobie wytłumaczyć opanowania, jakie towarzyszyło jej podczas tej „wizyty".

Jedynym rozwiązaniem było dla mnie opuszczenie Lwowa i przejście na niemiecką stronę. Po pierwsze musiałam zdobyć jakiś dokument, co nie sprawiło mi problemu. Dano mi oryginalną metrykę chrztu, która wówczas miała w Polsce również rangę dokumentu cywilnego, z innym imieniem i nazwiskiem. Od tej chwili moje nazwisko brzmiało Mayer.

Inną kwestię stanowił czas. Co i jak trzeba zrobić, aby szybko uzyskać przepustkę od obu komisji i otrzymać pozwolenie? Czekanie przez długie tygodnie w kolejce mogło oznaczać, że tymczasem zatrzyma mnie NKWD.

Moja kuzynka odkryła, że matki z dziećmi mają pierwszeństwo. Ona miała już numerek na komisję. Zdecydowałam się pójść tą samą drogą.

Sąsiednie małżeństwo, zaprzyjaźnione z rodziną, u której wówczas mieszkałam, wypożyczyło mi swoją

ośmioletnią czy dziewięcioletnią córkę. Pierwszego dnia nie udało mi się odstać, ale otrzymałam numerek na następny dzień. Mając wątpliwości, wzięłam małą po raz drugi ze sobą. Była bardzo bystra i zgodnie z moimi wskazówkami, kiedy rozmawiali ze mną Rosjanie, wyszła przez inne drzwi, żeby poczekać na mnie na zewnątrz. Nie chciałam ryzykować, że okażą jakieś zainteresowanie dziewczynką, albo będą o nią pytać.

Rosjanom powiedziałam, że mam w Warszawie ojca i zgodzili się na mój wyjazd. Niemcy przyjmujący ludzi byli bardziej drobiazgowi. Komentowali moje nazwisko, które, jak pamiętacie, było teraz niemieckie. Zachęcali mnie, abym zgłosiła się do pracy w Niemczech. Od razu zdałam sobie sprawę z nowego zagrożenia. Osoby w moim wieku były wywożone na przymusowe roboty do Rzeszy. Wytłumaczyłam, że najpierw muszę zobaczyć mojego ojca i dali mi przepustkę do Warszawy. Zdobyłam bilet na pociąg do Przemyśla na 30 maja. Był rok 1940.

W ciągu kilku dni, które mi zostały, zrobiłam wiele rzeczy. Po pierwsze pożegnałam się z moją matką, która od wielu lat, była przykuta do łóżka, ponieważ miała sparaliżowaną prawą część ciała. Po śmierci mojego ojca w 1937 roku znalazła się w szpitalu.

Nie mogła mówić, ale rozumiała wszystko i bardzo dobrze się porozumiewałyśmy. Wytłumaczyłam jej, co mi się przydarzyło i w jakim jestem niebezpieczeństwie. Z rezygnacją przyjęła pomysł mojego

wyjazdu ze Lwowa i sprawiała wrażenie, że moje obietnice, iż wrócę do niej za kilka miesięcy, nie przekonują jej. Musiałam znieść smutek i dramatyzm tego pożegnania!

Prowadziłam dalsze przygotowania. Ukryłam pieniądze i biżuterię wśród ubrań, a także prowiantu, jaki ze sobą miałam. Pożegnałam się z moją ciotką, moją kuzynką i z przyjaciółmi i wsiadłszy do pociągu, pierwszy raz w życiu dałam konduktorowi łapówkę, żeby zdobyć miejsce siedzące. Wizytę na cmentarzu, gdzie był pochowany mój ojciec, i która wymagała długiego popołudnia, przełożyłam na czas po powrocie.

W ten sposób rozpoczął się nowy, całkowicie nieprzewidywalny etap. Widziałam bardzo wyraźnie, że przechodzę z jednego ucisku w drugi, ale w głębi jest on jednakowy i wynika z determinacji jednego i drugiego okupanta, aby dokonać eksterminacji Polaków. Jak mówi ludowe powiedzenie: „z deszczu pod rynnę”.

Rozdział V
PRZESZŁAM NA DRUGĄ STRONĘ

Po przybyciu do Przemyśla musiałam czekać dwa dni i jedną noc pod gołym niebem ze względu na wielką liczbę ludzi, która musiała przejść przez dwie kontrole: sowiecką i niemiecką.

Było to bardzo nieprzyjemne, jeszcze bardziej niż samotność. Niemniej jednak, w jednej z grup znalazłam bardzo blisko spokrewnione osoby. Przeszli przez komisję wcześniej niż ja. Wreszcie nadeszła moja kolej i stanęłam przed sowieckimi żołnierzami. Chcieli wiedzieć, czy mam przy sobie złoto i niczego nie znaleźli, ale kiedy zwrócili uwagę na moje kolczyki – zapomniałam o nich – musiałam im je oddać. Później zawieźli nas do połowy mostu kolejowego na rzece San i tam oddali nas w ręce Wehrmachtu.

Z kolei niemiecka komisja kontrolowała wszystko bardzo drobiazgowo. Niektórym kobietom zrobili badanie ginekologiczne w poszukiwaniu brylantów (kiedy mówiłam o tym w Argentynie, nie wierzono mi do momentu, kiedy pewnego razu uciekinierka z komunistycznej Kuby opisała ten proceder bardziej szczegółowo).

Kiedy przeszłam na drugą stronę, wsiadłam do pociągu do Krakowa. Znalazłam adres moich wujostwa, którzy we wrześniu przeprowadzili się z Kato-

wic do Krakowa i zamieszkałam u nich. Spotkałam się z ważnymi osobami ze Lwowa i dobrze poinformowana o tym, co się dzieje w tej strefie, wyjechałam do Warszawy odwiedzić inne osoby.

Rozdział VI
RUCH OPORU

W Krakowie, tak jak w całej Polsce, intensywnie rozwijał się ruch oporu. Całe życie społeczne wymagało nowych form zachowania. Okupanci zamknęli szkoły średnie i wyższe uczelnie. Według nich Polacy nie potrzebowali oświaty na tym poziomie. Miały im przypadać zajęcia i prace służebne. Był to czysty imperializm mający na celu podporządkowanie sąsiednich narodów pod słynnym hasłem *Drang nach Osten*, co oznacza podporządkowanie narodów wschodnioeuropejskich. To hasło wiodło narody germańskie do podejmowania wojen już od dziesięciu wieków.

Prasa polska została zlikwidowana. Gazety i dzienniki zawierały oficjalne treści okupacyjne, chociaż były drukowane po polsku. Brak prawdziwych informacji trzeba było uzupełniać wydawnictwami podziemnymi.

Innym polem działania było organizowanie wsparcia i pomocy osobom poszukiwanym przez gestapo. Do tej kategorii należeli ogółem księża, ale najwybitniejsi spośród nich zostali rozstrzelani na początku. Nieustanna groźba wisiała na wszystkich osobach wyróżniających się w życiu narodu. Trzeba było myśleć o ich bezpieczeństwie. Została utworzona wielka sieć pomocy rodzinom aresztowanych, depor-

towanym, tym, którzy utracili swoje domy, tym, którzy zapełniali więzienia oraz ludziom wypędzanym masowo z wiosek i miast.

Ogromną zasługę w organizacji pomocy humanitarnej miał jej niezapomniany promotor: śmiały arcybiskup krakowski, książę metropolita Stefan Sapieha. Ścierał się bezpośrednio z generalnym gubernatorem, nie dbając o ostrożność i narażając się na wielkie osobiste niebezpieczeństwo. Z powodu zakazu nie mógł działać Polski Czerwony Krzyż. Książę metropolita utworzył komitet pomocy uwięzionym, motywował Caritas, aby wspierać jak dotąd ubogich, ale też osoby, które od niedawna potrzebowały wsparcia (często ludzi wybitnych, intelektualistów, fachowców, i tak dalej). Zajmował się wszystkim. Po wojnie Pius XII obdarzył go godnością kardynalską.

W podziemiu powstawały oddziały ruchu oporu i siatki informacyjnej, aby ostrzegać i bronić ludzi przed działaniami gestapo.

Innym zasadniczym problemem życia codziennego było zaopatrzenie w potrzebne pożywienie. Sama potrzeba pomogła utworzyć system produkcji i dystrybucji poza oficjalnym obiegiem. W ten sposób zaczął funkcjonować czarny rynek.

Wszystkie te zmartwienia i niedostatki, włącznie z brakiem szkolnictwa średniego i wyższego, były rozwiązywane dzięki tak zwanemu państwu podziemnemu. Funkcjonowało ono w sposób niemal doskonały, oparte na jedności narodu rzadko osiąga-

nej podczas całej jego historii, co nawet wywoływało zadziwienie samego okupanta.

Cztery główne polskie partie polityczne utworzyły rząd tymczasowy w stałym kontakcie z rządem na uchodźstwie w Londynie.

Wszystkie te podziemne działania, poza prawami narzuconymi przez Niemców, w przypadku wykrycia były przypłacane życiem.

Od początku włączyłam się do tej działalności i nie żałuję tego. Zawsze będę pamiętać pewnego światłego, dojrzałego człowieka, uwięzionego na Montelupich i przeznaczonego na sto procent do Oświęcimia. Aresztowany w łapance ulicznej cierpiał, jak mówił „za nic", z powodu pecha. Żałował, że nie przyjął innej postawy – postawy walki w ruchu oporu. Wówczas przynajmniej znałby przyczynę swoich cierpień i dzięki temu wszystko nabrałoby dla niego innego znaczenia.

Zaczęłam nawiązywać kontakty i uczestniczyć w różnej działalności. Równocześnie chodziłam na kurs pisania na maszynie i szukałam pracy. Najbardziej realną perspektywą była posada nauczycielki. I tak mijał czas, nie bez silnych bodźców emocjonalnych.

Pewnego lipcowego dnia, spacerując po przepięknych krakowskich plantach, wytyczonych na miejscu dawnych średniowiecznych murów, usłyszałam delikatną, a zarazem głęboką muzykę. Zatrzymałam się, żeby sprawdzić, skąd pochodzi. Ludzie spoglądali

w kierunku Zamku Królewskiego na Wawelu. Tam, obok zamku, znajduje się katedra.

Dzwonił słynny Dzwon Zygmunta. Ogłaszał tylko bardzo szczególne wydarzenia, oznajmiając narodowi przez wieki, że wydarzyło się coś ważnego. Urok melodii był fascynujący. Wydawało się, że wszyscy ludzie się zatrzymali. Po kilku chwilach megafony ogłosiły upadek Francji i poddanie się Paryża. Wojska niemieckie okupowały część terytorium Francji. Kolaborant generał Pétain utworzył marionetkowy rząd w Vichy. Dla nas oznaczało to kolejną klęskę. Francja była sojusznikiem Polski.

W tych dniach weszłam do starego kościoła, jednego z tych, które się zapadają, i którego wejście znajdowało się poniżej poziomu gruntu, z kamiennymi stopniami, które nadkruszyli chodzący po nich ludzie. Weszłam, żeby się chwilę pomodlić. Nagle przeżyłam moment całkowitej pewności, że czeka mnie aresztowanie. Przyjęłam wolę Bożą – ten akt płynął z samej pewności co do tego, co się stanie – prosząc Pana z całego serca, żeby nikt nie wpadł w ręce gestapo z powodu mojej słabości. I Pan mnie wysłuchał.

Rozdział VII
ARESZTOWANIE

20 stycznia 1941 roku wpadłam w zasadzkę, tzw. „kocioł" gestapo.

Przyszłam do mieszkania Maryli, młodej studentki Uniwersytetu Jagiellońskiego, która była kurierem i miała przywieźć z Warszawy gazetę „Walka". Drzwi otworzył mi funkcjonariusz gestapo. W jadalni na stole znajdowała się otwarta paczka z dużą liczbą egzemplarzy ostatniego wydania.

Był już obecny Stach, student. Znaliśmy się, ale udawaliśmy, że się nie znamy. Wkrótce potem przyszedł Staszek, również znajomy. Jego zaczęli bić już przy wejściu.

Najpierw zawieźli mnie do więzienia zwanego Montelupich. To dawne więzienie, z czasów Imperium Habsburgów, do dzisiaj budzi moje zainteresowanie z powodu nazwy, która trąci łaciną, włoskim, a nawet hiszpańskim… – *monte de los lobos* – „góra wilków".

Otworzyła się brama. Wjechaliśmy samochodem na podwórze i ciężkie wrota przy wejściu budynku zatrzasnęły się za mną na prawie dwa lata.

Zamknęli mnie w celi dwuosobowej numer 82, gdzie już znajdowały się cztery kobiety. Przedstawiłam się i dowiedziałam się skąd są i jak się nazywają.

Z ostrożności nikt nie opowiadał, dlaczego znalazł się w tym miejscu.

Wówczas rozpoczęły się przesłuchania. Wzywali mnie w dzień i w nocy, żeby „porozmawiać" w „cywilizowany" sposób na różne tematy. Trzeba było bardzo uważać, żeby nie popaść w sprzeczność. Pytali mnie o wielu znanych ludzi zarówno obecnych w kraju, jak i w Londynie (członków polskiego rządu na uchodźstwie).

Na koniec gestapowcy niezadowoleni z uzyskanych rezultatów powiedzieli: „odtąd pogadamy inaczej" i zaczęli przesłuchania przy pomocy bicia, policzkowania i ciosów pałki.

Pewnej nocy przyszłam do celi z pośladkami czarnymi od kary, jaką mi wymierzono. Moje towarzyszki z celi pomogły mi, próbując złagodzić ból okładami.

To, czego nie mogę zapomnieć z tej nocy, to strażnik więzienny, który przyniósł mi swoją kolację. Był Bawarczykiem w normalnej służbie więziennej – w owym czasie SS nie pełniło tych funkcji.

Z dumy nie przyjęłam jej. Moje towarzyszki miały do mnie o to pretensje, mówiąc, że mężczyzna postąpił tak z dobrego serca. Tak… z pewnością, ale w tamtej chwili nie czułam się na siłach, żeby docenić jego gest.

Następnym krokiem przesłuchania była konfrontacja z młodą kurierką Marylą. Strach było patrzeć na jej zupełnie czarną twarz z powodu otrzymanych po-

liczków i ciosów. Przedstawili mi ją, żebym potwierdziła, że to ona wręczyła mi dwa egzemplarze gazety „Walka", czemu zdecydowanie zaprzeczałam. Biorąc pod uwagę jej stan psychofizyczny, ich strategia wydaje się zrozumiała, a zważywszy, że oskarżenie wobec mnie miało niższą rangę, podpisałam protokół. Być może wypuściliby mnie na wolność, gdybym nie popełniła kolejnego błędu. Kiedy zapytano mnie, skąd miałam adres dziewczyny, powiedziałam, żeby nie wplątać nikogo więcej, że zdobyłam go z biura adresowego (gdzie byłam szukając adresu mojego wuja). Jednak biuro to zmieniło adres, o czym nie wiedziałam. W ten sposób wszystko stawało się dla mnie bardzo dwuznaczne i kłopotliwe. Tutaj przegrałam rundę.

O wadze naszej sprawy badanej przez gestapo dowiedziałam się szybko. Przechwycenie drukarni wspomnianej gazety w Warszawie było bardzo ważnym wydarzeniem. Ludzie z gazety nie poddali się, wywiązała się około dwudziestogodzinna walka. Zginął w niej redaktor gazety. Cenne maszyny, które w tych okolicznościach tak ciężko było zdobyć, zostały uratowane, bo na czas wyniesiono je na zewnątrz przy pomocy tajnych przejść. Straszne było to, że redakcja nie zdołała się uratować, bo Wehrmacht podpalił budynek.

Wszystkie te informacje, bardzo istotne dla nas, którzy byliśmy uwięzieni, przekazywano z ust do ust i pomagały nam one ustawić się podczas przesłuchań.

W tej sytuacji zrozumiała jest ważność, jaką gestapo nadawało ogniwu krakowskiemu. Z naszej

trójki schwytanej w tym samym miejscu najbardziej ucierpiał na śledztwie Staszek, który był bity od samego początku. Inny chłopak, Stach, był w sytuacji podobnej do mojej.

Staszka przykuto do ściany celi, która znajdowała się nad nami. Dlatego słuchaliśmy krzyków, ciosów i jęków. Dla wydobycia informacji na temat jego brata, ważnego przywódcy ruchu oporu w Krakowie, okrutnie go torturowano. Nie udało im się złamać Staszka i dręczono go, aż umarł. Był to niezwykły przykład skromnego i anonimowego bohatera…

Po zakończeniu okresu śledztwa na początku kwietnia zaproponowano mi pracę w pralni. Chodziło o ręczne pranie odzieży gestapowców. Zgodziłam się, żeby móc wychodzić w dzień z zamkniętej celi. Nie było łatwą rzeczą przyzwyczaić się do podobnej pracy. Oprócz tego wydawała mi się upokarzająca, dlatego że chodziło o gestapo.

W tych dniach przez głośniki dowiedzieliśmy się o nowych zdobyczach Wehrmachtu. Kolejny strategiczny punkt – Bałkany (Grecja i Jugosławia) zostały zajęte odpowiednio przez Mussoliniego i Hitlera. Wszystkie wiadomości były przybijające…

Tymczasem ktoś pomógł mi i wydostał mnie z pralni do obierania ziemniaków w kuchni. Dzięki temu moja sytuacja bardzo się poprawiła!

W krótkim czasie władze więzienne zdecydowały się umieścić pralnię przemysłową w piwnicach więzienia przy Montelupich. Zapytano mnie, czy zgodzę

się kierować tą pracą, która od tej chwili obejmować miała tylko odzież więźniów. Propozycja była interesująca: przechodziłam do otwartej celi i miałam możliwość utrzymywania kontaktów z uwięzionymi ludźmi. Zgodziłam się. Zapoznałam się z instrukcjami dotyczącymi uruchomienia przedsięwzięcia. Zespół sześciu kobiet i jednego mężczyzny stanowił grupę roboczą. Ciężkie zadania jak ładowanie węgla do podgrzewania wody w kotle, namaczanie odzieży i dbanie o dobre funkcjonowanie instalacji wykonywał mężczyzna. Odzież przybywała związana w indywidualne paczki i powracała czysta i ułożona w ten sam sposób.

Dzięki tym zmianom gestapo unikało posyłania odzieży do rodzin i eliminowało w ten sposób przepływ informacji. Niemniej jednak, jako że żadne ludzkie dzieło nie jest doskonałe, z powodu tej izolacji zmieniły się tylko sposoby kontaktu.

Po drodze, kiedy wychodziłam z zamkniętej celi do pracy, musiałam przejść naprzeciwko biur znajdujących się w tym samym, prawym skrzydle parteru budynku. Dlatego miałam okazję widzieć ludzi świeżo przyprowadzonych z miasta, stojących twarzą do ściany i oczekujących na swoją kolejkę, żeby wejść do gabinetu, gdzie ich ewidencjonowano i rozpoczynano śledztwo. Słychać było krzyki i jęki aresztowanych. Te lamenty docierały do naszej celi tak w dzień, jak i w nocy.

Pewnego razu widziałam zatrzymanego tylko jednego bardzo eleganckiego mężczyznę, o wyglądzie intelektualisty. W pewnej chwili upadł na ziemię.

Poruszenie w biurach, wśród ludzi z SS, wskazywało nam, że wydarzyło się coś niezwykłego. Tak, był to niezwykły przypadek. Człowiek ten zażył cyjanek i zmarł. Mimo obecności wszystkich strażników, którzy go pilnowali, zrobił swoje. Truciznę miał schowaną pod naskórkiem przegubu. Nie miał kajdanek. W celi modliliśmy się za wieczny odpoczynek tego samobójcy, który z pewnością wiele wiedząc o ludziach i strukturach ruchu oporu, nie chciał ryzykować i być może nie czuł się na siłach, żeby przejść przez ogień próby. Kolejny nieznany bohater! Oddał swoje życie, żeby chronić innych.

Rozdział VIII
NIEMIECKI ATAK NA ZWIĄZEK SOWIECKI

22 czerwca 1941 roku dotarła do nas sensacyjna wiadomość. Hitler zerwał swój układ ze Związkiem Sowieckim i zaatakował Rosję. Niemieckie oddziały z błyskawiczną szybkością zdobywały teren. Stalin poczuł się zdradzony i w najwyższym stopniu zaskoczony. Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich nie był przygotowany na nową wojnę.

Mój Lwów przeszedł teraz w niemieckie ręce. Później dotarły do mnie informacje o wydarzeniach we lwowskim więzieniu Brygidki, gdzie znajdowali się moi znajomi: pewna dziewczyna i pewien mężczyzna.

Kiedy w wyniku niemieckiego ataku wybuchła wojna, rosyjscy strażnicy otworzyli wszystkie cele i bramę więzienia. Niektórzy więźniowie skorzystali, żeby uciec, inni, podejrzewając pułapkę, zostali. Wśród tych ostatnich była moja koleżanka ze szkoły średniej. Kiedy opuszczała więzienie, Sowieci zabili ją strzałem w tył głowy – ją, a także wielu innych. Chłopakowi udało się uciec.

W okupacji miasta pierwszoplanową rolę odegrały ekstremistyczne grupy ukraińskie, o których już pisałam. Na podstawie istniejących związków i obietnic Niemców, poinstruowani i przygotowani przez

niemieckie wojsko i gestapo, liczyli na objęcie pełni władzy tworząc w ten sposób Wielką Ukrainę.

Jednakże ich protektorom aż tak się nie spieszyło. Aresztowali całą wierchuszkę i zawieźli ją na Montelupich, gdzie przebywałam. Udało mi się porozmawiać z niektórymi z nich. Byli przybici silnymi uczuciami rozgoryczenia i rozczarowania.

Zwycięskie podboje Wehrmachtu znaczyły szczytowy rozkwit Niemiec i spowodowały fundamentalną zmianę sojuszy. Rosja sowiecka przeszła do obozu ich dawnych przeciwników. Pod koniec 1941 roku Stany Zjednoczone Ameryki przystąpiły do wojny w wyniku niespodziewanego japońskiego ataku na ich bazę na Pacyfiku – Pearl Harbour – 7 grudnia.

Wówczas pojawił się nowy układ polityczno-wojskowy. Amerykanie, wspierając przede wszystkim swój przemysł zbrojeniowy, pospieszyli z dostawą uzbrojenia sowieckiej armii wyposażając ją w najnowocześniejszą broń. I tak alianci przygotowali dwa fronty: zachodni i wschodni, aby wziąć Niemców w dwa ognie i zmusić ich do bezwarunkowej kapitulacji przy końcu wojny.

Zmiana sojuszy wytworzyła trochę niewygodnych sytuacji dla aliantów. Jest oczywiste, że najostrzejsze problemy wystąpiły w przypadku polskiego rządu na uchodźstwie. Jaka była wówczas możliwość negocjowania z sowieckim „nowym sojusznikiem" na temat sytuacji ludności, która została „wyrwana ze swojej ziemi" i wywieziona do republik Kazachstanu i Kir-

gizji, sytuacji ludzi zamkniętych w obozach pracy przymusowej (gułagach) na całej Syberii od Uralu do Kołymy i Kamczatki, a także ludzi, którzy przebywali w sowieckich więzieniach, osądzeni lub bez sądu tylko za „przestępstwo" urodzenia się Polakami? A przypadek jeńców wojennych (rzekomo chronionych przez międzynarodowe konwencje genewskie) uznanych za zaginionych?

W konsekwencji rozpoczęły się rozmowy między rządem polskim na uchodźstwie a Rosjanami. Stalin zgodził się na uwolnienie wszystkich uwięzionych; aresztowanych, więźniów i jeńców wojennych. Ci, którzy usłyszeli ten głos wolności i byli fizycznie w stanie, wyjeżdżali i bez żadnej pomocy rządu sowieckiego próbowali dotrzeć do ośrodków tworzonych przez wojskowych wysłanników z Londynu. Usiłowali wstąpić do polskich jednostek wojskowych. Biura rekrutacji znajdowały się na południowym wschodzie ZSRR, przy granicy z Iranem. Tam został utworzony II Korpus pod dowództwem generała Andersa. Również kobiety, zdolne do służby, zostały wcielone do wojska. Inne kobiety i dzieci znalazły troskliwą opiekę i pomoc.

Przeniesieni z Rosji do Iranu, a później do Palestyny, przeszli etap fizycznej poprawy stanu zdrowia, organizacji i szkolenia wojskowego, żeby w pełni uczestniczyć w walkach w Afryce. W bohaterskich walkach zmierzyli siły ze słynnymi formacjami Wehrmachtu pod dowództwem generała Rommla. Po zwycięstwie na tym froncie Polacy przeszli później do

Włoch, aby wziąć udział w ich wyzwoleniu. To jednak wydarzyło się dopiero w 1944 roku.

Powracając do lat 1941-1942 historycy potwierdzają, że Stalin szybko zdał sobie sprawę z tego, co traci przy pomocy tej strategii, jeśli chodzi o polskie „zasoby ludzkie" i zahamował strumień płynący na południe. Utworzył polski korpus wojskowy, wcielając go do Armii Czerwonej. Dywizja dowodzona przez polskiego generała Berlinga uczestniczyła w całej kampanii frontu wschodniego, a następnie zaznała satysfakcji zajmując Berlin i umieszczając polską flagę na Reichstagu.

Innym bardzo poważnym problemem, jaki objawił się w nowej sytuacji polityczno – wojskowej, były kwestie terytorialne. Polska domagała się zwrotu ziem zajętych przez ZSRR w 1939 roku. Alianci powinni byli poprzeć te żądania, ale zamiast tego dali się opanować sugestiom sowieckiego dyktatora, aby odłożyć tę kwestię do końca wojny. Niemniej jednak, sprawa była omawiana na konferencji w Teheranie (1943) i Jałcie (1945).

Rozdział IX
WIĘZIENIE MONTELUPICH – PRALNIA

Konieczność przechodzenia kobiet przed drzwiami biur i ciągły wzrost liczby aresztowań spowodowały przeniesienie sekcji kobiecej do zaimprowizowanego więzienia. Był to dwupiętrowy dom naprzeciwko więzienia, z dużym ogrodem, niezależną kuchnią i pralnią. Nasza grupa robocza została na Montelupich. Umieszczono nas w otwartej celi po lewej stronie parteru. Byłyśmy w piątkę każda ze swoim łóżkiem. Jak już przywykłam robić w tych wypadkach, wybrałam górną pryczę. Dzięki temu miałam wrażenie bardziej otwartej przestrzeni. Było to tak, jakbym miała większą swobodę, większy dostęp powietrza i szerszy horyzont. Kładąc się na pryczy, izolowałam się od otoczenia moich towarzyszek, które poszeptywały między sobą. Z twarzą do ściany i uszami przykrytymi małą poduszeczką, przenosiłam się do innego świata, zamykając się w moich myślach i snach, a także w moich modlitwach. Były to chwile odpoczynku i odprężenia.

Pralnia zaczęła pracować pełną parą, z coraz większą doskonałością, jeśli chodzi o jej funkcjonowanie. Ludzkie stosunki w zespole pracowników opierały się na sympatii, przyjaźni, a przede wszystkim na solidarności. Niesamowita była jedność, która panowała wśród wszystkich więźniów. Nie wchodziło

w grę branie pod uwagę różnic politycznych, religijnych czy społecznych.

Poza tym pomoc innym była ogólną zasadą, którą „żyli" wszyscy ludzie – każdy zgodnie ze swoją osobowością. W zamkniętych celach istotny był charakter każdej jednostki, jej idee, jej sposób współżycia. Przy tym wszystkim konieczna była również pewna dawka ostrożności w przypadku ewentualnej ukrytej obecności konfidentów gestapo. Były to niezwykle rzadkie przypadki, ale miały miejsce.

Więzienie nadal było pełne ludzi. Wszyscy znajdowali się tam z powodu uczestnictwa w działaniach ruchu oporu. Wielkie grupy spod różnych znaków politycznych wpadły w owych miesiącach w ręce gestapo.

Z pralni, stosunkowo łatwo mogłyśmy namierzać osoby, którym trzeba było przekazać pewne dane, jakieś informacje. Niemal zawsze jedna z nas uczestniczyła w dystrybucji. Często szłam ja, albo inna osoba, szczególnie zainteresowana spotkaniem z kimś. Z mojej strony zasada, której bardzo ściśle się trzymałam, polegała na przekazywaniu koniecznych informacji ustnie, nigdy zaś na piśmie. Często ludzie byli nieostrożni i przez to szkodzili nie tylko sobie samym, ale również adresatowi.

W każdy weekend komitet utworzony przez krakowskiego metropolitę przywoził paczki, które przesyłali krewni. Poza tym komitet ze swej strony dostarczał dodatkową żywność dla wszystkich.

Były to kanapki albo pieczywo. Zawierały wszystko. Niesamowicie było przekonywać się, w jaki sposób je przygotowywano, żeby były bardzo smaczne i pożywne. Mleko i lekarstwa zamówione przez więźniów również znajdowały się na liście tej zasłużonej społecznej instytucji.

Paczki przesyłane przez rodziny podlegały kontroli. Pewnego razu widziałam razem z inną dziewczyną taką rewizję przeprowadzaną przez pewnego esesmana. Kiedy otworzył paczkę, wypadł „gryps". Człowiek spojrzał na nas, włożył papierek do środka i zamknął paczkę. To znaczy, że przekazał „coś" zabronionego do zamkniętej celi. Zachowanie chłopaka bardzo nas zaskoczyło. Był dobroduszny czy chciał pokazać, że ma do nas zaufanie? Czy chciał zdobyć nasze zaufanie? Czy notatka dotarła do adresata, czy została w biurze? Nigdy nie dowiedziałyśmy się, jak to się skończyło. Widziałyśmy natomiast, że ten mężczyzna ułatwiał kontakty, kiedy asystował przy rozdzielaniu odzieży. Miał narodowość niemiecką, ale obywatelstwo polskie. Urodził się w Polsce, uczył się w polskich szkołach, a trafił do służby w gestapo, dlatego że nie miał jednego palca, co czyniło go niezdatnym do regularnej służby wojskowej.

W tym okresie miałam poważny problem z powodu zainfekowanego zęba. Twarz mi napuchła i trzeba było wyrwać ten męczący ząb. Nie było żadnej możliwości, żeby wyjść do przychodni w mieście. W samym więzieniu przyjmował znany lekarz, krakowianin, więzień, entuzjasta piłki nożnej, który miał

to szczęście, że mógł zorganizować na podwórzu więziennym dwa mecze. Osoby z otwartych cel mogły być obecne i uczestniczyć w grze. Ten lekarz przyjmował każdego, ze wszystkim. Mnie musiał wyrwać ząb bez znieczulenia! Nie było innego sposobu… Ta operacja przysporzyła mi niemal nieznośnego bólu w całej głowie, który trwał przez wiele dni. Niektóre resztki tego zęba wyrwał mi dentysta w Londynie po zakończeniu wojny.

Pewnej nocy, bardzo późno, wracając z pracy i wchodząc po schodach naprzeciwko wejścia do budynku, zobaczyłam, jak dwóch esesmanów wprowadza dziewczynę. Spojrzałyśmy na siebie i rozpoznałam ją po oczach. Jej czarne oczy były wielkie i piękne: to była Oleńka. Uczyniłam jej znak, żeby milczała, kładąc dyskretnie palec na ustach. Przywieziono ją z bardzo ciężkiego więzienia w województwie lubelskim, gdzie była sama ze swoją kilkumiesięczną córeczką, w wilgotnej piwnicy. W owym czasie, w więzieniu przy Montelupich był więziony bardzo znany człowiek, dr Grembosz. Był to już ostatni z naszej sprawy z wydawnictwa „Walka". Oleńkę prowadzono chyba na konfrontację z nim, albo być może znajdowała się już w drodze do Oświęcimia. Nie wiem, ile czasu spędziła na Montelupich (przypuszczam, że niewiele), ani kiedy ją zabrano.

Następny epizod również jest związany z osobą dr. Grembosza. Wspomniany już wcześniej esesman, który doskonale znał polski, powiedział mi raz wprost, żebym zaniosła przeznaczoną dla niego

odzież. Na drugim piętrze otworzył jakąś celę. Nie rozpoznałam nikogo spośród tam obecnych. Wówczas zawołał jednego z nich. Kiedy ten wyszedł, esesman zwrócił się do niego po nazwisku i kazał mi, żebym podała mu papierosa.

W ten sposób poznałam tak ważnego człowieka, którego widziałam osobiście po raz pierwszy i ostatni – szybko zmarł w Oświęcimiu. Przeraził mnie widok jego niesprawnej lewej ręki. Jednakże to jest już inny temat. W rzeczywistości to spotkanie miało być ukrytą konfrontacją, aby złapać mnie w pułapkę.

W owym czasie wiele osób przewożono do obozów koncentracyjnych. Większość szła do Oświęcimia (przemianowanego na Auschwitz), znajdującego się w odległości sześćdziesięciu kilometrów na zachód od Krakowa, inni – do obozów koncentracyjnych w Niemczech. Było wiele takich miejsc, we wszystkich częściach Europy, gdzie ziemię deptał but Wehrmachtu.

Nadeszły już pierwsze zimowe chłody, kiedy wybuchła epidemia tyfusu. Władze i wszystkich ludzi ogarnął wielki strach. Rozebrali wszystkich w celach i wzięli odzież do pilnego prania. Zabrałyśmy się do nieprzerwanej pracy w dzień i w nocy, myśląc o tych, którzy umierali z zimna w celach. Nasza postawa wzbudziła zdziwienie wśród funkcjonariuszy gestapo, którzy pytali nas, dlaczego pracujemy z taką gorliwością, bez wytchnienia. Wyczuwało się ich milczący podziw. Pozwolili nam pracować, jak chciałyśmy.

Kolejnego dnia musiałam pójść do biur, w sprawach administracyjnych i zobaczyłam coś, co mnie przestraszyło i niemal doprowadziło do rozpaczy – człowieka powieszonego na kształt krzyża na kracie drzwi w prawym skrzydle, gdzie przedtem miałyśmy cele. Wrażenie było bardzo wielkie. Nie pamiętam dobrze, czy wówczas nie wezwano mnie specjalnie do biura, dlatego że zazwyczaj przedstawiałam sprawy za pośrednictwem niektórych zajmujących się nimi esesmanów. Być może zrobiono to w związku z jakimś śledztwem albo żeby mnie przestraszyć…

Rozdział X
BOŻE NARODZENIE 1941 ROKU

Tymczasem nadeszło Boże Narodzenie. Rano 25 grudnia świeciło oślepiające słońce. Strażnicy otworzyli cele i pozwolili więźniom wyjść na korytarz. Byłam na dole i spoglądając w górę, widziałam imponujące schody w kształcie ślimaka i wielu ludzi. Ktoś zaczął śpiewać kolędy i wszyscy z obu pięter przyłączyli się do niego. Zaimprowizowany, piękny chór, z cudownym tenorem…! Śpiewaliśmy kolędy jedna za drugą. Miejsce kaźni, cierpienia i śmierci napełniło się pochwałą Boga, wywyższeniem Jego Imienia. Duch Święty przenikał do serc napełniając je pokojem, optymizmem i tą pewnością, że Bóg Ojciec nigdy nie opuszcza swoich dzieci, czy to za życia, czy w chwili śmierci. Przeżycie było wzruszające i sprawiło, że niejednemu łzy popłynęły z oczu. Dodawało sił, aby stawić czoła temu, na co wszyscy czekaliśmy – wywózce do obozu koncentracyjnego.

Regularnie prowadzono grupy więźniów pod prysznice znajdujące się obok pralni. Wówczas korzystaliśmy z tego, żeby podać im kilka kawałków chleba i trochę papierosów. Pewnego razu esesmani odkryli to i zamknęli mnie w kobiecym więzieniu, którego do tej pory nie znałam. Cele były wielkie, dla 20-30 kobiet, ze słomianymi siennikami rzuconymi na podłogę jeden obok drugiego. Dla mnie była to

ciężka próba, która na szczęście trwała tylko dwa dni. Wezwano mnie z powrotem do pralni, bo w tych dniach przestała działać. Co się stało? Jak to się zdarzyło? Palacz, który z nami pracował, dokonał małego sabotażu i maszyna się zatrzymała. Był elektrykiem i znał swoją robotę. Dodając sobie ważności, naprawił później awarię.

Już w lecie, jedna z kobiet, która ze mną pracowała, usilnie nalegała, naciskając na mnie przy pomocy wyszukanych argumentów, na umieszczenie grypsu w tobołku czystej odzieży zanoszonej do celi. Osobiście sprawdzałam i wiązałam paczki i nigdy nie pozwalałam na żadne notatki. Ułatwiałam inne rodzaje kontaktu za wyjątkiem tego. O dziwo tym razem kazano nam iść z koszem do biura. Tam rozpoczęła się kontrola tobołków. Stało się ewidentne, że kobieta, która nalegała na zrobienie czegoś zabronionego, była konfidentką gestapo.

Nadchodziła już jesień. Było widać, jak w okresie zamknięcia; separacji od przyrody, ludzie żyją przystosowując się do zmiany pory roku, jakby były one ostatnim zegarem potrzebnym do życia. Wówczas to wezwano mnie do pomocy chorej kobiecie. Leżała w celi, w której początkowo mieszkałam, a która teraz była otwarta. Zostawili mnie z nią sam na sam. Powiedziała mi, że aresztowano ją za to, że ma brata księdza, bardzo znanego, zasłużonego dla Ojczyzny na południu Polski, w Tatrach. Ona Józefa Machay Mikowa przecierpiała bardzo ciężkie śledztwo i teraz chora nie wiedziała, jaki los ją czeka. Przyszli z

noszami i zanieśli ją do biura. Później dowiedziałam się, że dostała tam zastrzyk i zmarła. Widziałam, jak wynosili zwłoki przez drzwi wejściowe. Ludzie opowiedzieli mi później, że miała niezwykle znaczącą pozycję w ruchu oporu, że przewożono ją z jednego więzienia do drugiego, że spędziła długi czas sama i naga w ciemnej, wilgotnej celi w podziemiach więzienia przy Montelupich. Była to osoba, kobieta, która oddała swoje życie, wierna szlachetnym ideałom.

W roku 1942 z więzienia przy Montelupich przewieziono ostatnich więźniów z ubiegłego roku do obozów koncentracyjnych – w większości do Oświęcimia. Więzienie przy Montelupich napełniało się teraz ludźmi schwytanymi w ulicznych łapankach albo na stacjach kolejowych za przemyt. Przywozili oni żywność z sąsiednich wsi: prosiaki, kurczaki, jaja, mąkę, wędliny i tak dalej. Żyli z tego i zaopatrywali czarny rynek. Przejściowo zjawiały się również na Montelupich grupy wieśniaków wyrzuconych z domu z całymi rodzinami, wysiedleńców.

Naszego palacza wysłano do Oświęcimia. Pytano mnie w biurze, kto, moim zdaniem, mógłby go zastąpić, kto mógłby pracować w pralni. To pytanie wydawało mi się pułapką, oni powinni byli wiedzieć lepiej niż ja. Mimo to zaryzykowałam. Wiedziałam, że w dawniejszych grupach był uwięziony pewien socjalista i wskazałam na niego.

Wiele rozmawialiśmy z tym nowym palaczem. Nasza praca zostawiała nam wolne chwile, pozwalając w ten sposób na rozmowę. Omawialiśmy bardzo

różne tematy, ponieważ wszystko nas interesowało. Mieliśmy różne punkty widzenia, różne zasady, różne wartości. Był człowiekiem bezwzględnie negującym istnienie Boga. Materialista, zamknięty umysłowo na wszelkie myślenie metafizyczne, wydawał się niezdolny do jego zrozumienia. Pierwszy raz spotkałam się z taką osobowością. Niemniej jednak dyskusje były interesujące.

Po zakończeniu wojny ten palacz był w okresie rządów stalinowskich w ZSRR członkiem polskiego rządu komunistycznego i przez wiele lat pełnił funkcję premiera. Zyskał smutną sławę wysyłając wojsko przeciwko manifestującym robotnikom, którzy żądali w 1956 roku chleba i lepszych warunków pracy. Nędza lat powojennych była wielka, a warunki pracy nieludzkie. Premier zagroził robotnikom obcinaniem rąk! Były to ponownie lata terroru i strachu w Polsce, tym razem w „marksistowskim raju".

Trzeci palacz również wyszedł z zamkniętej celi na moją prośbę. Był zawodowym oficerem, bardzo ostrożnym w mowie. Według mojej wiedzy był wówczas ostatnim więźniem politycznym przy Montelupich. Ten pozostał w więzieniu, kiedy ja wyjechałam do Oświęcimia. Według informacji, które do mnie dotarły, przeniesiono go do innego krakowskiego więzienia, a później uwolniono.

Rozdział XI
WYWÓZKA DO OŚWIĘCIMIA

Moje długotrwałe przetrzymywanie w Montelupich, ciężka praca w piwnicy, opary związane z praniem brudnej bielizny, zamknięcie bez dostępu świeżego powietrza, bez ruchu, czy spacerów rekreacyjnych, ciążyły mi codziennie coraz bardziej i moje zdrowie ulegało pogorszeniu, tym bardziej, że zawsze miałam delikatne oskrzela i płuca.

Tymczasem ktoś skomentował w sposób półoficjalny, że zważywszy na tak długą pracę, mogłam przede wszystkim uzyskać zamianę więzienia na mniej surowe, a później zwolnienie. W tym celu musiałam napisać pismo prosząc o ponowne rozpatrzenie mojej sprawy sądowej. Zrobiłam to, wiedząc, że jeżeli nie uzyskam pozytywnej odpowiedzi, czeka mnie natychmiastowe przeniesienie do Oświęcimia. Wolałam zaryzykować chcąc ewentualnie przyspieszyć rozwój wypadków, które w każdym razie były nieuniknione.

Pośród różnych kategorii więzień, więzienie przy Montelupich należało do aresztów śledczych. Jego obiekty służyły do umieszczania tam świeżo aresztowanych ludzi. Tam gestapo prowadziło swoje badania i przesłuchania. Odbywało sądy doraźne i wydawało wyroki. Tam były narzędzia tortur, ciemne i wilgotne cele w piwnicach i wszelka broń potrzebna do łamania ludzi.

Najbardziej przerażające było niespodziewane otwarcie zamkniętej już sprawy. Nowe przesłuchania, śledztwa, konfrontacje, kary. Taka możliwość wzbudzała panikę u wszystkich. Gestapo było zdolne przywozić z powrotem ludzi z różnych obozów koncentracyjnych, aby pogłębiać swoje śledztwo.

Mój pobyt na Montelupich trwał już zbyt długo – 20 miesięcy. Przepisy przestrzegane na całym świecie dają uwięzionym, którzy pracują i zachowują się poprawnie, korzyść polegającą na łagodniejszym traktowaniu, zamianie na inne więzienie, obniżeniu kary albo uwolnieniu. W każdym razie moja sytuacja musiała ulec zmianie.

Przesłałam pismo. Po dwóch miesiącach uznano moją sprawę za zakończoną i 11 listopada 1942 roku przeniesiono mnie do celi, gdzie oczekiwałam na wyjazd do Oświęcimia.

W noc poprzedzającą wyjazd rozmyślałam nad tym, co mnie czeka i podjęłam bardzo ważną decyzję: nigdy nie pić w obozie nieprzegotowanej wody, dlatego że pośród innych przyczyn, ogromną śmiertelność wywoływała woda gruntowa, pełna bakterii, które powodowały to, co Niemcy nazywali "Durchfall", czyli nieodwracalną biegunkę.

Następnego dnia przejechaliśmy na zachód sześćdziesiąt kilometrów dzielących nas od owego słynnego obozu zagłady w Oświęcimiu. Tam, w dawnych koszarach wojskowych, w 1940 roku Niemcy rozpoczęli organizowanie tego miejsca. W odległości

około trzech czy czterech kilometrów założyli „wioskę" dla kobiet. Wzniesiono ją w miejscu, gdzie zimą 1941-1942 zgromadzono sowieckich jeńców wojennych. Wiele tysięcy osób bez dachu nad głową, bez pożywienia, bez jakiejkolwiek opieki czy pomocy – zmarli i ich zwłoki zostały tam wgniecione w ziemię bez jakiegokolwiek pochówku.

Tutaj mogę wspomnieć coś, co naprawdę wydaje się historią z jakiejś powieści. W Rosario w Argentynie, w mieście, gdzie mieszkam, pewnego razu spotkałam człowieka ze społeczności ormiańskiej, który należał do tej grupy jeńców wojennych. Rozmawiałam z nim z prawdziwym zainteresowaniem… rzeczywiście z pewną rezerwą; ze szczyptą nieufności. Opowiedział mi, jak wydostał się z tej grupy i jak wielkie szczęście miał do końca wojny. Chodziło o ormiańskiego inżyniera weterynarii, który uratował się nie dzięki jednemu cudowi, ale powiedziałabym, że wielu różnym.

Ten obóz koncentracyjny dla kobiet nosił nazwę Birkenau w języku niemieckim i Brzezinka po polsku. Zasiedlały go kobiety ze wszystkich krajów europejskich pod okupacją niemiecką. My, Polki, stanowiłyśmy bezwzględną większość.

Pierwsza grupa ofiar przybyła ze Słowacji. Były to Żydówki. One miały za zadanie zorganizować obóz pod kierunkiem gestapo. Z tego powodu zajmowały kierownicze stanowiska kapo w barakach i biurach.

Z tego kontyngentu kobiet, z młodziutkich dziewcząt, niemieccy naukowcy utworzyli grupy królików doświadczalnych do eksperymentów „naukowych" na temat kobiecej płodności. Człowiek ma ochotę zapytać: byłbyż to pierwowzór obecnych manipulacji genetycznych?

Nie pamiętam szczegółów dotyczących podróży ani trasy. To, co utrwaliło się w mojej pamięci, to główne wejście do męskiego obozu, gdzie znajdował się napis: ARBEIT MACHT FREI, co oznacza PRACA CZYNI WOLNYM. Wszyscy wiedzieliśmy, że jest to potężne i cyniczne kłamstwo. Praca w tym miejscu służyła do uśmiercania ludzi, eksploatowania ich do tego stopnia, że w określonych okolicznościach, powodowała śmierć. Wyrażały to same słowa dodawane do nazwy miejsca: „obóz zagłady" w Oświęcimiu.

Po przejściu przez rejestrację udałyśmy się piechotą do Brzezinki, naszego miejsca przeznaczenia.

Rozdział XII
PRZYJAZD DO OBOZU ZAGŁADY

Był 12 listopada. Jesienne, deszczowe i zimne dni. Najpierw po wejściu zrobiono nam zbiórkę i powiedziano, że jest to kontrola, żeby nikt się nie zgubił, nie uciekł ani nie zniknął. „Rachunki zawsze musiały się zgadzać". Odpowiedzialni za każdy NUMER byli ludzie z SS.

Po zakończeniu tej formalności skierowałyśmy się na drugi koniec przechodząc główną i jedyną drogą obozową. Natknęłyśmy się tam na żydowską brygadę roboczą. Wyróżniała się gwiazdą Dawida noszoną na opasce i na piersiach na bluzie. Ludzie w obozowej odzieży, obszarpani, nazywani w naszym żargonie „muzułmanami", to znaczy, na granicy śmierci. Najbardziej zaskakująca ze wszystkiego była praca, jaką wykonywali. Każdy z nich przy pomocy miski, która służyła mu do jedzenia, wydobywał wodę z przydrożnego rowu i opróżniał ją po drugiej stronie. Była to bezsensowna praca. Przy drodze widać było wiele porzuconych bochenków chleba. Zadawałam sobie pytanie: ludzie, którzy umierają z głodu, a mimo to, wyrzucają chleb… co to znaczy? Wkrótce zdałam sobie sprawę, że jest on niejadalny: twardy, sprawiał wrażenie drewnianych otrąb. Z czasem jakość chleba uległa poprawie.

Zatrzymaliśmy się przed łaźnią, żeby pozbyć się wszy i zmienić naszą odzież na obozową. Rozebrałyśmy się na wolnym powietrzu, przeszłyśmy przez łaźnię parową i wyszłyśmy, żeby długo czekać. Dostałyśmy ubrania: bluzę, płócienne buty na drewnianej podeszwie, chustkę na głowę i bieliznę. Strój był szaroniebieski w pionowe pasy.

Pośród osób, które się nami zajmowały, spotkałam moje znajome z Montelupich i dzięki temu mogłam ocalić kilka znaczących dla mnie drobiazgów. Tak stało się z moją książeczką do nabożeństwa, którą moja kuzynka posłała mi do więzienia. Był to prezent na Pierwszą Komunię Świętą, jaki otrzymała od matki swojej matki. Mały, ale kompletny modlitewnik „przeżył" niezliczone poszukiwania, rewizje i kontrole. Służył mnie i innym osobom i jeszcze dzisiaj przechowuję go jak relikwię.

Umieścili nas w baraku. Do spania trafiło mi się najgorsze miejsce – prycza na dole – bezpośrednio na ziemi, zabłocone i z wilgotnym kocem. Zdjęłam buty i położyłam je z boku. Rano ich nie znalazłam – zostały mi skradzione. Pierwszy dzień rozpoczął się gorzkim doświadczeniem. Z trudnością znalazłam gdzieś wyrzucone dwa stare buty pochodzące z różnych par.

Później zaprowadzili nas do męskiego obozu Oświęcim, żeby nas zarejestrować, zrobić nam zdjęcia i nadać numery. Tam spotkałam się z palaczem z Montelupich (socjalistą), który pracował w tych biurach. Obiecał przysłać mi buty i szczepionki przeciw tyfusowi. Wkrótce zostały mi doręczone. W ten spo-

sób funkcjonowała drobna część wzajemnej pomocy i ochrony, kontaktów i informacji, a także handlu – wszystko to było zabronione.

Otrzymałam numer 24429.

Kiedy przybyłam do Brzezinki, miejsce to istniało zaledwie od paru miesięcy. Wszystko trzeba było zrobić. Istniała tylko jedna studnia z wodą naprzeciwko kuchni. Było zabronione nabieranie stamtąd wody. Trzeba było ryzykować i ryzykowałyśmy. Było ciężko! Nie było też światła elektrycznego, a nieliczne lampy naftowe miały kapo w swoich biurach i miejscach rozdzielania żywności. Ludzie zdobywali świeczki. Brygady więźniów elektryków z obozu w Oświęcimiu, przybywały codziennie do pracy przy instalowaniu sieci. Inne grupy pracowały, żeby pokryć niezliczone potrzeby w miejscu zamieszkiwanym przez tak wiele osób.

Rozdział XIII
ŻYCIE W BRZEZINCE

Pierwsze dni spędziłam pracując na zewnątrz przy budowie dróg. Było to uważane za najgorszą pracę. Potwierdzało to brzydka pogoda, ciężka praca i nieludzkie traktowanie przez SS, którzy posługiwali się policyjnymi psami, żeby zastraszać ludzi.

Moje przyjaciółki z więzienia przybyły wcześniejszymi transportami i były już „wygodnie" ulokowane. Myślały tylko o tym, żeby mi pomóc. I tak mogłam próbować zdobyć pracę w głównym biurze. Przegrałam jednak sprawdzian pisania na maszynie, w związku z czym nie dostałam tej pracy. Czegóż innego mogłam się spodziewać? Tyle czasu bez maszyny, a teraz ze zziębniętymi rękami… Zostałam jednak sekretarką w jednym z baraków „Revier", czyli szpitala.

Barak ten, zbudowany z drewna, miał, jak wszystkie baraki, trzypiętrowe prycze z pni drzewa, które z kolei zaopatrzone były w sienniki i koce. Ziemna podłoga była błotnista, zaś dla dezynfekcji posypywano ją chlorem. Wpływało to bardzo poważnie na oczy i drogi oddechowe. Jak wspomniałam wcześniej nie było jeszcze światła elektrycznego. Barak był bardzo wielki i pełen kobiet chorych na wszelkie choroby, znajdujących się tam razem, po dwie, a nawet po trzy na pryczy. Noce były przerażające z powodu ciemności. Małe światło lampy naftowej w kąciku kapo było

niewystarczające. Krzyki, skargi i jęki chorych osób, którym nikt nie mógł pomóc, były rozdzierające. Nocniki spadały z góry, brudząc osoby z prycz na dole, stąd wynikały kłótnie – jednym słowem piekło. Dopiero dzienne światło przynosiło trochę ładu pozwalając pielęgniarkom przynajmniej wysłuchać chorych, dać im jakąś aspirynę, szklankę herbaty czy wody.

Moja praca zajmowała mi niewiele czasu. Musiałam prowadzić listę kontrolną wejść i wyjść chorych.

Wybrałam, w strefie dla personelu, pryczę na drugim, najwyższym piętrze, gdzie spały już trzy dziewczyny z Lublina. Było to bardzo przyjemne towarzystwo.

Pewnego dnia wezwano te dziewczyny do głównego biura. Nie wróciły na noc. Następnego dnia zapytałam kapo, co mam robić, jak mam zapisać nieobecność dziewczyn. Powiedziała mi, żebym nie zajmowała się tą sprawą, zapomniała o niej i jej nie komentowała. To mnie zaniepokoiło. Kiedy wychodziłam z baraku godzinę później, zawołała mnie inna kapo, znajdująca się naprzeciwko jakiegoś namiotu. Podniosła skrzydło namiotu i pokazała mi, nie mówiąc ani słowa, stos trupów: sama skóra i kości. Na nich zobaczyłam trzy ładne i zdrowe ciała moich towarzyszek. Kapo zamknęła namiot i położyła palce na ustach. Pochyliłam głowę i oddaliłam się nie mówiąc ani słowa. Jedna z moich znajomych, która miała zaufanych ludzi w biurach, wyjaśniła mi, że dziewczyny z Lublina miały poważne sprawy dotyczące posiadania broni i przyjechały do Oświęcimia z wyrokami

sądowymi sądu wojskowego. Wyrok śmierci został wykonany przez zastrzyk z formaldehydu w serce.

Ciążyły mi niemal bezczynne dni. Zaczęłam zdawać sobie sprawę, że w tym miejscu nie mam szans rozwinąć żadnej działalności jak na Montelupich. Niemniej jednak, zaczęłam chodzić od jednej pryczy do drugiej, w oddzielnej strefie dla personelu, żeby zobaczyć, kto je zajmuje. Znalazłam wiele pustych, dlatego że zajmujące je osoby pracowały, ale z jednej z nich… spoglądały na mnie wielkie, czarne oczy… i po raz drugi rozpoznałam Oleńkę. Była wyczerpana, nie chciała ani się poruszać, ani mówić. Od wielu dni nie przyjmowała jedzenia ani napojów. Zadawałam sobie pytanie, dlaczego odseparowano ją w tej części baraku. Żeby umarła w zapomnieniu? Natychmiast przeniosłam ją na moją pryczę i zajęłam się nią. Kiedy już jej się poprawiło, poszła do innego baraku. Dowiedziałam się, że wyszła cało z Oświęcimia.

Nocą jednego z pierwszych grudniowych dni zaczęłam się modlić przy pomocy mojej książeczki. Przybliżyłam się do pryczy obok, gdzie jakaś Żydówka miała zapaloną świecę. Obserwowała mnie przez długą chwilę i w końcu zapytała, czy się modlę. Potwierdziłam. Wówczas podarowała mi trzy świece i powiedziała, że wie, iż zaprowadzą ją do komory gazowej i poprosiła, żebym się za nią modliła, kiedy umrze.

Następnego dnia, pięknego zimowego i słonecznego dnia, kiedy ziemia była przystrojona na biało, zaskoczył nas alarm o poranku. Wszyscy ludzie obecni

w barakach musieli wyjść. Gestapo zrobiło obławę na Żydówki przenosząc je do baraku numer 25, baraku śmierci.

Po zakończeniu poszukiwań zawieziono je odkrytymi ciężarówkami w kierunku krematorium. Krzyki, lamenty i przekleństwa napełniały powietrze. Na brzegu jednej z ciężarówek rozpoznałam, jedną z towarzyszek z Montelupich, która ze spokojem machała ręką.

W nocy, obok pustej pryczy, przy świetle świecy, modliłam się dalej.

To, co przed chwilą opowiedziałam, miało miejsce 5 i 6 grudnia. Pamiętam to tak dokładnie, bo 6 grudnia to dzień Świętego Mikołaja, który od wieków jest obchodzony w Polsce przez dzieci. Święty odwiedza je w towarzystwie anioła i diabła, przynosi im ładne prezenty, a także sprawdza, czy umieją się modlić albo… upomina je, jeśli źle się zachowują. I tak kalendarz pomagał uporządkować wydarzenia… a teraz pamiętać o nich.

Wydaje mi się, że na tym etapie należy opisać proceder stosowany przez nazistów przy masowej eksterminacji ludzi. Prowadzono ich nago do pozorowanych łaźni, gdzie z pryszniców ulatniał się trujący gaz. Ludzie, uduszeni, już martwi, upadali na podłogę, której nachylenie powodowało, że ciała ześlizgiwały się do pieca. Pracujące tam brygady składały się z Żydów, którzy co jakiś czas kończyli swoje życie w ten sam sposób, robiąc miejsce dla nowej ekipy.

Później nadeszła brzydka pogoda i jakby przy tej okazji władze zdecydowały się na ogólne „Entlausung", włącznie z personelem „Revier". Na czym to polegało? Wszyscy musieli oddać ubranie do odwszenia. Oznaczało to przebywanie przez wiele godzin nago na wolnym powietrzu. Operacja ta spowodowała ogromną liczbę zgonów. Dotknęła również mnie. Z wysoką gorączką i lekką biegunką musiałam pójść do innego baraku szpitalnego. Ten wyglądał inaczej. Zbudowany z drewna, miał trzypiętrowe prycze, ustawione razem po dwie tak, że na dwóch mogły leżeć trzy chore osoby. Personel musiał spać po dwie osoby na pryczy.

Prawie codziennie przychodził lekarz i określał, które z kobiet należy stamtąd zabrać i wysłać do komory gazowej. Szły tam bez względu na rasę, religię, wiek czy pozycję społeczną. Wszystkie, które po prostu na oko wydawały mu się nieuleczalnie chore, kończyły swoje życie w komorze gazowej.

W tych okolicznościach dochodziły wiadomości, przekazywane przez mężczyzn z brygad z obozu w Oświęcimiu, na temat tego, co działo się we Lwowie pod niemiecką okupacją.

Informacją, która dotknęła mnie do głębi, było postępowanie Niemców wobec osób nieuleczalnie chorych… Zostały one wykończone we wszystkich szpitalach, sanatoriach, klinikach i domach starców. To oznaczało dla mnie wiadomość o śmierci mojej matki. Czy potrzebny jest komentarz do tego wydarzenia?

Dowiedziałyśmy się również o masowym rozstrzelaniu profesorów naszych wydziałów, dokonanym przez ukraińskie formacje SS. Czy pamiętacie, że w Krakowie Niemcy zrobili to samo z profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego, posyłając ich do obozów zagłady w Niemczech?

Na chwilę upadłam na duchu i było mi już wszystko jedno, czy będę dalej żyć, czy umrę. Jednakże, w tym stanie ducha, który powtórzył się nieraz, nagle pochłaniała mnie ogromna ciekawość i zainteresowanie tym, co się stanie w przyszłości. Oddalało mnie to od najbliższych problemów, od powagi sytuacji. Mobilizowało mnie do modlitwy i napełniało optymizmem.

Rozdział XIV
WEGETACJA WIĘŹNIA

Kiedy już wyzdrowiałam, zostałam, żeby pracować w tym baraku. Przez krótki czas zajmowałam się chorymi jako pielęgniarka. Ta praca nie była jednak dla mnie i wykorzystując pewne zmiany dostałam się do usług ogólnych. Były to różne zajęcia o niewielkiej odpowiedzialności. Nie mogłam „żeglować" pośród fałszów, kłamstw i bezsilności. Wolałam niższy poziom, który jednak dawałby mi większą swobodę i spokój wewnętrzny.

W owym czasie, stojąc przez wiele godzin na śniegu podczas apeli, które odbywały się rano i wieczorem, zachorowałam na pęcherz. Straciłam kontrolę nad zwieraczem i moczyłam się w nocy na łóżku, które dzieliłam z inną dziewczyną. Zawsze pamiętam, jaka była dobra. Nigdy nie czyniła mi wyrzutów. Pomogło mi zdobycie trzech par wełnianych majtek i wyleczyłam się dzięki ochronie, jaką dawało dobre okrycie.

O czwartej rano szłyśmy do kuchni po herbatę, którą przygotowywano z gorzkich chwastów zbieranych w innej porze roku przez brygadę roboczą. Noce były ciemne. Komora gazowa i krematorium znajdowały się po drugiej stronie drutów i pracowały 24 godziny na dobę. Na kotarze ciemnego, prawie czarnego nieba, na wysokości około czterech metrów

nad kominem, widać było płomienie niczym znicze. To świadczyło o tym, co dzieje się wewnątrz. Obraz był niesamowity i wymowny.

Jedzenie, to znaczy zupy i herbata, były transportowane w naczyniach brygady wojskowej, zamykanych hermetycznie, o pojemności stu litrów, czyli w rodzaju termosów, w których gotowano i rozdzielano jedzenie. Nosiłyśmy je we cztery. Dwie z każdej strony chwytały to samo ucho. Te, które szły z tyłu z każdej strony, opierały drugą rękę na ramionach tej pierwszej.

Pewnego razu w południe szłam przodem niosąc zupę do baraku. Droga była śliska z powodu szronu i poślizgnęłam się tak, że sama nie mogłam się podnieść. Funkcjonariuszka SS uderzyła mnie batem. Dziewczyny pomogły mi stanąć na nogach i dalej niosłyśmy marmita. Nie płakałam, ale łzy same ciekły mi po policzkach. Moje towarzyszki miały mi to za złe, bo było czymś wstydliwym płakać w obecności strażniczki. Przy tym upadku złamałam kość guziczną. Przez wiele lat bardzo cierpiałam z tego powodu i jeszcze dzisiaj odczuwam od czasu do czasu silny ból w tym miejscu.

Innego dnia, już w lutym 1943 roku, alarm o poranku wyrwał ludzi z baraków. Słońce i śnieg błyszczały. Ustawiono nas w szereg i oficer gestapo dokonał przeglądu. Polegało to na tym, że patrzył każdej z nas w oczy. Kwestia polegała na tym, że nie wolno było unikać spojrzenia. Ogromnie bolała mnie złamana kość i bałam się, że moje spojrzenie mnie

zdradzi. Co robić? Wówczas przyszło mi na myśl skupić wzrok na jego brwiach. Pomysł okazał się dobry, niebezpieczeństwo minęło.

Zaraz później otwarto bramę główną i zaczęły wchodzić brygady pracujące na zewnątrz. Każda z kobiet musiała przebiec po wąskiej desce. Jeśli źle wykonała jakiś ruch, oddzielano ją do baraku 25 (skazanych). Było to jedno z bezpośrednich, zaplanowanych działań eksterminacyjnych, masowego unicestwiania osób pochodzących z różnych narodów Europy.

Wracając do spraw codziennych. Tym, co bardzo mi przeszkadzało, były wszy wszelkiego kalibru, ogromna liczba pcheł, które atakowały mnie masowo i zostawiały mi bardzo męczące ślady. Walka z tymi insektami trwała bez przerwy. Nocą myszy i szczury robiły swoje. Pewnego ranka sprawdzając prycze, znalazłam jedną Czeszkę nieprzytomną, z twarzą pogryzioną przez szczura – coś okropnego! U stóp łóżka zauważyłam jej codzienną rację chleba. W tym momencie przeszło mi przez myśl, żeby go zabrać… ale wewnętrzny wstrząs i błyskawiczna refleksja powstrzymały mnie od tego. Nieszczęsna nie mogła bronić tego, co miało podtrzymać jej życie, zabrać jej to… – NIE – odwróciłam się i pracowałam dalej.

Na tym etapie funkcjonowania obozu Oświęcim-Brzezinka wprowadzono tatuowanie lewego przedramienia każdego „Zugang", czyli każdego nowego więźnia przybywającego do obozu. Nasze tatuaże miały małe numery i były dobrze wykonane, dlatego że robiły je dziewczyny z głównego biura, które w

tym celu przybyły do baraku. Nowo przybyłe były tatuowane wielkimi, krzywymi, brzydkimi cyframi. Te wytatuowane numery ułatwiały rejestrowanie zgonów, a w związku z tym prawidłową informację dla krewnych. Również talerz jedzenia i chleb wydawano, wywołując odpowiedni numer, a niekiedy sprawdzając tatuaż.

Czas płynął powoli. Życie nabierało charakteru wegetacji. Ludzie nie mogli rozwijać własnych zdolności, inicjatyw, pracy, rozumu… Pojawiało się nawet lenistwo, jeśli chodzi o myślenie, rozmawianie, porozumiewanie się! Aby uciec od tej morderczej rutyny, która sączyła się pośród zajęć pierwszej potrzeby i nieustannych epizodów prześladowań, terroru, potworności i okrucieństwa, niektórzy ludzie, usiłowali wnieść do swojego życia odrobinę „normalności".

Ludzie grupowali się w zależności od swoich upodobań. Nocą, kiedy baraki były już zamknięte, organizowano spotkania. Opowiadano historie, przeżycia, anegdoty, wiadomości o wojnie docierające z zewnątrz. Czasami, kiedy nie było kapo albo była w dobrym humorze, śpiewano piosenki. To było najpiękniejsze!

Święta przygotowywano z wyprzedzeniem, starannie, żeby spędzić je jak najlepiej. Pomagało w tym zachowanie władz, które zwiększały i polepszały porcje jedzenia na te dni.

Pewnego razu, już po godzinie policyjnej, kiedy było zabronione wychodzenie z baraku, nie wytrzy-

małam dłużej. Wyszłam. Zatrzymałam się w kącie, w półcieniu. Noc odurzyła mnie: czyste powietrze, księżyc w pełni na niebieskim firmamencie i tysiące pięknie rozmieszczonych gwiazd. Ziemia przykryta doskonale gładkim białym obrusem… Cisza i spokój!

W odległości kilku kroków znajdowało się ogrodzenie z drutu kolczastego pod napięciem i co parę kroków wieże wartowników. Byli ludzie, którzy pozbawili się życia, rzucając się na ogrodzenie. Było to wtedy, kiedy rozlegały się strzały wartowników z wieżyczek.

Jednak cisza i piękno tej nocy zafascynowały mnie. W głębi mojego serca zrodziło się spontanicznie bardzo konkretne pytanie: „Gdzie jesteś, Panie mój?".

Kontrast między tymi dwiema rzeczywistościami – tą wewnątrz baraku i tą na zewnątrz – był tak uderzający, że wymagał jasnej przekonującej odpowiedzi. I Pan dał mi ją poznać. Ludzie, istoty ludzkie, posługując się swoją wolną wolą, torturują i zabijają innego człowieka, swojego bliźniego, dlatego że nie znają Jego, swojego Stwórcy, albo Go zwalczają. Nie szanują Jego dobrych praw. Bóg zawsze jest ten sam – dobry i sprawiedliwy. Ci, którzy Mu ufają, nie zostaną oszukani. On jest wszechmocny, On jest ostatecznym Zwycięzcą!

Powrócił do mnie głęboki spokój i cudowne bezpieczeństwo, które umocniły jeszcze bardziej moją wiarę i moją miłość do Boga. W tym kontekście życie i śmierć zdobywają te same wieńce zwycięstwa.

Rozdział XV
PFLANZENZUCHT

Kiedy Trzecia Rzesza napadła na ZSRR odkryła na Ukrainie ośrodek studiów naukowych badający pewną roślinę, bardzo powszechną na tych ziemiach, o nazwie koksagiz. Roślina ta jest bogata w kauczuk, dlatego usiłowano, poprzez odpowiednią uprawę, dojść do znaczącej produkcji. Produkt miał wielkie znaczenie dla celów wojennych.

Na początku wiosny 1943 roku władze niemieckie zdecydowały się zorganizować nowy podobóz w Oświęcimiu (pod koniec wojny było ich prawie trzydzieści), aby kontynuować badania tego laboratorium z Ukrainy. Wyznaczone kapo – Polki – poprosiły mnie o utworzenie brygady roboczej. Zgodziłam się: spotkało mnie wyjątkowe szczęście.

Podczas gdy robotnicy, więźniowie Oświęcimia, budowali baraki i całe zaplecze nowego miejsca, nasza brygada udawała się około czterech kilometrów od Brzezinki, we wskazane miejsce, aby sadzić pierwsze rośliny. Każdy egzemplarz rośliny otrzymywał numer i literę, które musiały być rejestrowane w odpowiedniej książce.

To nowe zajęcie umożliwiało mi nabranie głębokiego oddechu, a praca wydawała się interesująca.

Dzień przeprowadzki był wielkim dniem. Grupa liczyła siedemdziesiąt dwie osoby.

Czekał na nas nowy drewniany barak z trzypiętrowymi pryczami ustawionymi po dwie, z ubikacją zainstalowaną wewnątrz baraku. W innym baraku były umywalnie z prysznicami i wielka wspólna łazienka. W naszym baraku znajdowało się również pomieszczenie przeznaczone na izbę chorych: mały szpital z kilkoma łóżkami i lekarką. W innym baraku – jadalni – znajdowała się przestronna sala z wielkimi oknami. Stoły, krzesła i indywidualne przegródki do przechowywania sztućców, serwetek, i tak dalej… Obszerne i dobrze wyposażone laboratorium służyło nam do rozwijania badań.

Towarzyszyła nam inna brygada, która pracowała w polu. Były to wieśniaczki, wygnane ze swoich domów i wiosek razem ze swoimi rodzinami. Prowadziły plantacje roślin, a zwłaszcza papryki i pomidorów. Miały inny barak z tymi samymi wygodami.

Dla nas wszystkich zmiana była ogromna, podobnie jak znaczenie nazwy nadanej miejscu: „Rajsko", czyli jak w raju.

Każda z nas dostała własną pryczę z pościelą zmienianą co tydzień. W kuchni przygotowywano posiłki dla najwyżej dwustu osób, co oznaczało znaczącą poprawę obsługi.

Zespół tworzyli ludzie, dobrze wychowani, wykształceni (mieli przynajmniej wykształcenie średnie). Kapo miały tytuły uniwersyteckie w dziedzinie nauk

rolniczych, a szef, wysoki oficer SS, był na takim samym poziomie intelektualnym.

Nasza praca zmieniała się w zależności od pory roku. W lecie uprawa wymagała podlewania i pielenia. Pod koniec lata zbierałyśmy nasiona do odpowiednich kopert oznaczonych właściwymi cyframi i literami. Później wyrywano roślinki z taką samą ostrożnością, oddzielając korzenie, aby suszyć je w termostatach i przechowywać je w określonym porządku później, zimą.

W Rajsku zostałam do końca istnienia obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, czyli do 18 stycznia 1945 roku.

Życie w Rajsku charakteryzowało się, w odróżnieniu od Brzezinki, pewnym poziomem bezpieczeństwa, a także pewnym stopniem „dobrobytu i spokoju". Druty nie rzucały się w oczy, natomiast kiedy obrabiałyśmy ziemię i pielęgnowałyśmy rośliny, znajdowałyśmy się bardzo blisko wież wartowniczych. Strażnicy z SS dobrze traktowali ludzi.

To wszystko jednak nie oznaczało, że żyło się poza nieustającym zagrożeniem. Łatwiej byłoby powiedzieć, co nie było zabronione, niż wyliczyć wszystko, co było zakazane.

Pierwszy zakaz dotyczył kontaktu z mężczyznami z brygad roboczych, które przybywały do Rajska, a co za tym idzie handlu wymiennego zarówno odzieżą, jak i jedzeniem, wysyłanie listów, ale też sama rozmowa z robotnikami. Nie oznaczało to jednak, że

tego nie robiono. W zimie wykorzystywałyśmy piecyki do „gotowania": podgrzewania wody, opiekania chleba, przygotowywania jakiejś zupki… i robienia tak wielu drobiazgów, które były dla nas zabronione.

Starałyśmy się wypełniać cały czas, jaki pozostawał nam po pracy, czymś pożytecznym, a nawet „normalnym". Obchodzono imieniny dając przemyślne prezenciki i pięknie ozdabiając stoły. Obchodzono święta religijne zgodnie z panującymi w Polsce zwyczajami. Przy pomocy teatrzyków i przedstawień obchodzono święta narodowe. Te ostatnie, nawet z przemówieniami o tematyce historycznej, co było oczywiście bardzo ryzykowne…

Jeśli chodzi o zasady współżycia, powstawały „rodziny" złożone z trzech czy czterech dziewcząt, przyjaciółek, które prowadziły razem swoje gospodarstwo. Zarządzały zapasami, siadały przy tym samym stole i pomagały sobie nawzajem.

W połowie 1944 roku Międzynarodowy Czerwony Krzyż uzyskał od Niemców zgodę, aby więźniowie otrzymywali paczki żywnościowe od swoich krewnych. To poprawiło życie i uczyniło je łatwiejszym. Niektórzy mogli otrzymywać nawet trochę pieniędzy i kupować rzeczy w kioskach. Ja dostałam dwie czy trzy przesyłki przez te wszystkie lata i były one czymś nadzwyczajnym, dlatego że nie miałam krewnych w tej części Polski. Wuj z Krakowa zmarł i tylko przyjaciele dawali sygnały, że o mnie pamiętają. Byłam im zawsze bardzo wdzięczna. W tej "operacji paczkowej" zasłużyła się Komisja Arcybiskupia z

Krakowa, ta sama, która zajmowała się więzieniem na Montelupich. Dzięki temu zastrzykowi żywności rozwijał się coraz skuteczniej i sprawiedliwiej handel rzeczami. Oczywiście, wszystko miało swoje wzloty i upadki – zależało to od tego, co działo się na froncie. Parę razy zgadzano się na przysyłanie paczek, innym razem zatrzymywano je albo zabierano, żeby później rozdzielić je według własnego widzimisię.

Bardzo brakowało nam książek. Ktoś zdobył podręcznik do angielskiego i wiele z nas usiłowało czegoś się nauczyć. Mnie interesowały również robótki ręczne, którymi kierowała zawodowa koszularka. Nie był to żaden kurs, po prostu obserwowałam jej pracę. Patrząc i słuchając wyjaśnień, człowiek się uczył. Między innymi, szyła różne rodzaje fartuchów. Nauczyłam się trochę z tej dziedziny. Poza tym funkcjonowała „poczta" między wszystkimi obozami. Wiadomości na temat tego, co działo się na świecie i na frontach, docierały do nas różnymi drogami. Najważniejszym było nielegalne słuchanie alianckich rozgłośni radiowych, jakie działały w męskim obozie. Tę śmiałość niejeden przypłacił życiem.

Wojna trwała długo i czekano z utęsknieniem na jej zakończenie. Wydarzenia na frontach zmieniały sytuację wojenną.

Po krótkim czasie nasz barak wypełnił się większą liczbą ludzi w wyniku przeniesienia innego laboratorium, lwowskiego, słynnego dr. Weigla (odkrywcy szczepionki przeciwko tyfusowi) z całym personelem. Wśród tych osób był pewien żydowski lekarz z żoną

Edith i około czteroletnim synem. Kobieta z małym mieszkała z nami. Również z nimi przyjechała Polka, specjalistka od chemii.

Wspomniana szczepionka przeciwko tyfusowi była opracowywana na podstawie hodowli wszy. Pamiętam, że wszy, które żywią się ludzką krwią, żywiły się krwią kilku moich koleżanek, które w ten sposób „zarabiały" na życie. W Oświęcimiu dawcy krwi nie dostawali pieniędzy, ale byli lepiej odżywiani i dostawali większe porcje.

Pewnego dnia odwiedziła mnie urzędniczka z administracji Rajska, Genia, Żydówka, która nosiła gwiazdę Dawida w kolorze czerwonym, co oznaczało, że należy do więźniów politycznych. Rzeczywiście brała udział w polskim ruchu oporu. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zaproponowała mi ni mniej, ni więcej, żebyśmy uciekły we dwie z obozu. Byłam przeciwna tego rodzaju „przygodom", dlatego że nie tylko stanowiły wielkie ryzyko dla tego, kto uciekał, ale również pociągały za sobą bardzo poważne konsekwencje dla jego brygady roboczej. Jeżeli nie znaleziono uciekiniera, rozstrzeliwano co dziesiątą osobę z brygady. Prawdopodobieństwo sukcesu ewentualnej ucieczki było minimalne, zważywszy na położenie geograficzne kompleksu obozów w Oświęcimiu. Znajdował się on w trójkącie utworzonym przez zbieg dwóch rzek: Wisły i Soły.

Miałam to szczęście, że udało mi się przekonać Genię, aby zaniechała swojego zamiaru. Wówczas nie wiedziałam, czemu przypisać wybór dokonany przez

Genię. Nie wydawało mi się to pułapką ani prowokacją, ale… jeżeli nie było ani pierwszym, ani drugim, skąd wzięło się takie zaufanie do mojej osoby? Nasze kontakty były bardzo przypadkowe. Nigdy więcej nie rozmawiałyśmy o tej sprawie.

Opowiedziane zdarzenie przypomniało mi, że obok biura Genii znajdowała się pasieka. Pewnej niedzieli odwiedziłyśmy pszczelarza. Tam wysłuchałyśmy entuzjastycznego opisu cudownego życia pszczół.

Rozdział XVI
OSTATNIE MIESIĄCE OBOZU W OŚWIĘCIMIU

Przekroczyłyśmy już próg 1944 roku. W połowie tego roku rozpoczęto przywożenie do Brzezinki transportów Żydów węgierskich. Pociągi, na nowych torach, położonych specjalnie w tym celu, zawoziły ich bezpośrednio do strefy komory gazowej. Była to ostatnia faza planu eksterminacji Żydów. Żydzi z Węgier byli bardzo bogaci i dlatego udało im się przeżyć więcej czasu, płacąc wielkie daniny hitlerowskiemu reżimowi za ocalenie.

Komora gazowa miała w tym czasie znaczące braki trującego gazu. Wówczas Niemcy kopali rowy i wrzucali tam chorych i starych ludzi oraz dzieci i palili ich żywcem. Smród morowego powietrza dochodził aż do Rajska. Dławił. Czułam się zatruta, miałam mdłości i byłam w stanie ogłupienia. Nie sposób wytłumaczyć przy pomocy słów tego przeżycia.

Jedna z moich sąsiadek w sypialni była młodą dziewczyną z Węgier, która znalazła się w Oświęcimiu za swoją walkę polityczną z hitleryzmem. To, co wydawało się największym nieszczęściem, ocaliło ją ze zbiorowej rzezi, jakiej dokonali wówczas hitlerowcy w stosunku do jej żydowskich braci z tego kraju. Była to wspaniała dziewczyna.

Nastąpił pierwszy sierpnia. Scenariusz wojenny bardzo się zmienił. Wehrmacht znajdował się w ciągłym odwrocie na froncie wschodnim i staczał wielkie bitwy na zachodzie. Obóz w Oświęcimiu stopniowo ulegał zmniejszeniu. Więźniów wywożono do innych obozów koncentracyjnych w Niemczech.

Paryż powstał już zwycięsko przeciwko okupantowi.

Tego dnia na ulice Warszawy wyszło podziemne polskie wojsko, aby wyzwolić stolicę. Po drugiej stronie Wisły, na jej prawym brzegu, znajdował się już „sojusznik" – Armia Czerwona. Powstanie miało wszelkie szanse zwycięstwa. Włożyłyśmy sobie na głowy chusteczki w barwach narodowych. Pojawiły się one „w magiczny sposób" i zrobiły silne wrażenie na naszych strażnikach.

Wiadomości z Warszawy były początkowo dobre i nasza euforia rosła. Jednakże trwało to krótko. Zaczęłyśmy dowiadywać się o trudnościach w zaopatrzeniu powstańców. Polskie samoloty, które przylatywały z Anglii, nie mogły lądować na Pradze (na prawym brzegu Wisły), gdzie Rosjanie odmawiali im wsparcia i uniemożliwiali lądowanie i zaopatrzenie w paliwo. W ten sposób zahamowali całą wojskową pomoc polskiego rządu w Londynie.

Z kolei zbrojne formacje komunistyczne, należące do polskiego ruchu oporu, popełniały zbrodnie przeciwko samym Polakom.

Tak stało się z moim kolegą i dobrym przyjacielem Jankiem Kornasem, po jego mowie pożegnalnej na pogrzebie kolegi, podwładnego, który zginął w powstaniu. Kiedy zdekonspirował się tym wystąpieniem, komuniści zdali sobie sprawę ze znaczenia jego osoby. Od tego czasu nikt nie miał o nim więcej żadnych wiadomości, a jego żona, która była wówczas w ciąży, poszukiwała go niestrudzenie, lecz bez rezultatu.

Armia Czerwona, nasz „sojusznik", rozlokowany po drugiej stronie Wisły, oczekiwał na wyczerpanie się powstańców i upadek Warszawy. Po poddaniu się powstania przyglądali się „z roztargnieniem" zniszczeniom i pożarowi Warszawy spowodowanym przez Niemców i ich ukraińskie bataliony SS. I tak Warszawa legła dosłownie w gruzach i popiołach, a jej bohaterscy bojownicy zostali pogrzebani lub znaleźli się w niewoli.

Po raz kolejny potwierdziło się, że zamiar unicestwienia narodu polskiego był wspólnym mianownikiem polityki i sojuszy rosyjsko-niemieckich.

Nowe grupy jeńców ze zburzonej stolicy Polski dotarły do Oświęcimia.

Stare, zwykłe chustki na głowę wróciły do codziennego użytku.

Rozdział XVII
KOMUNISTYCZNY RZĄD W WARSZAWIE

W listopadzie otrzymałam paczkę od moich przyjaciół z Krakowa. Był to bochenek chleba. Ważne było to, co znajdowało się w środku – gryps. W grypsie tym przyjaciele opowiadali mi o decyzjach konferencji w Teheranie i Jałcie dotyczących zmiany wschodniej granicy Polski. Oznaczało to, że moje rodzinne miasto Lwów przejdzie na drugą stronę granicy. To znaczy, stanie się częścią Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, a konkretnie Ukrainy. List ten potwierdzał plotki, które docierały wcześniej. Zmieniało to do głębi perspektywy mojego życia.

Już późną jesienią 1944 roku nasz szef SS (Obersturmbannführer) ustawił nas w szeregu o bardzo niezwykłej godzinie i w bardzo niezwykły sposób, a następnie przemówił do nas. Powiedział nam, że pracowałyśmy źle, że wyniki upraw są żadne, żebyśmy uważały, dlatego że któregoś dnia mogą postawić nas pod ścianą i rozstrzelać. Również jego samego spotka ten sam los w związku z odpowiedzialnością, jaka na niego spada.

Groźba albo ostrzeżenie nie zaskoczyły nas. Wiedziałyśmy bardzo dobrze, że nasza opieka nad liczbami i literami, wybór nasion i korzeni są niedbałe. Nie przywiązywałyśmy wagi do tej pracy. Myślałyśmy z nadzieją, że zanim zażądają od nas sprawozdania,

wojna już się skończy pewną klęską Niemiec. Taka postawa niosła ze sobą również pewną dawkę naszego sprzeciwu i ducha walki z wrogiem, co oznaczało niechęć do pomagania mu w sukcesie. Chodziło o bojkot albo bezpośredni sabotaż projektów nieprzyjaciela. Była to nasza milcząca walka o wolność, która dotykała wszystkich aspektów i perspektyw życia i godności istoty ludzkiej.

Zima zbliżała się wielkimi krokami i z tą samą szybkością poruszał się front wschodni. Zdobywając Warszawę, Sowieci zainstalowali tam swój rząd, który został utworzony już wcześniej jako komitet, po zajęciu Lublina. Był to strategiczny cios przeciwko prawowitemu polskiemu rządowi przebywającemu podczas wojny w Londynie. Grupa „polskich" komunistów, z Wandą Wasilewską na czele, sama przyznała sobie atrybuty władzy.

Oznaczało to również zignorowanie Delegatury Rządu na Kraj, która działała przez te wszystkie lata w polskim podziemiu i która w tym czasie weszła już w bezpośredni kontakt z sowieckimi „sojusznikami". Marszałek Żukow, dowódca frontu, zaprosił wówczas szesnastu przywódców polskiego państwa podziemnego na obiad. Po dotarciu na miejsce zostali porwani i wywiezieni samolotem do Moskwy, bezpośrednio do słynnego więzienia na Łubiance. Byli to przedstawiciele czterech głównych partii politycznych kraju, które tworzyły Radę Jedności Narodowej: 1) naśladowców marszałka Piłsudskiego, 2) liczniejszej części

partii narodowo-demokratycznej, 3) Polskiego Stronnictwa Ludowego i 4) Polskiej Partii Socjalistycznej.

W krótkim czasie, tuż po zakończeniu wojny, rząd ZSRR postawił porwanych przed sowieckim Sądem Najwyższym, aby ich osądzić. Przygotowano jeden z owych słynnych publicznych procesów, podczas których wszyscy oskarżeni przyznawali się do winy. Dla wszystkich poza Rosją stanowiło to zagadkę. Wszyscy chcieli wiedzieć, na czym polega „przygotowanie" oskarżonych, żeby przyznali się do winy na procesie. W historii znano tylko jeden przypadek bułgarskiego komunisty, który zaprzeczył podczas procesu wszystkim swoim poprzednim oświadczeniom, złożonym podczas policyjnego śledztwa.

Tymczasowy rząd ruchu oporu, czyli władze Polski Podziemnej, został oskarżony ni mniej, ni więcej, tylko o zdradę Ojczyzny. Fakt aresztowania tych przywódców w podstępny i pełen przemocy sposób, poprzez pozbawienie ich wolności (gdy tymczasem w rzeczywistości wszyscy oni cieszyli się immunitetem jako przedstawiciele i wysłannicy samego rządu na uchodźstwie, a dodatkowo jeszcze jako obecni „sojusznicy") pokazywał rzeczywiste nastawienie rządu ZSRR, który z całkowitą bezkarnością, gwałcił prawo międzynarodowe i swoje własne zobowiązania sojusznicze.

Trzynastu spośród porwanych uznano za winnych absurdalnego oskarżenia o zdradę Ojczyzny. Zostali oni skazani indywidualnie na wiele lat więzienia. Jeden z nich zaprzeczał jakiejkolwiek winie. Został

zwolniony. Był to młody adwokat z partii narodowo-demokratycznej, dobry znawca języka i praw ZSRR, który sam podjął się swojej obrony.

Zwolniono go, ale kiedy wrócił do Warszawy, ścigano go, mając zamiar go uwięzić. Miał to szczęście, że przekroczył na czas linię demarkacyjną i udał się do amerykańskiej strefy okupacyjnej w Niemczech. Napisał interesującą książkę *Zaproszenie do Moskwy*. Jego nazwisko brzmi Zbigniew Stypułkowski.

Rozdział XVIII
EWAKUACJA OBOZU W OŚWIĘCIMIU

Kiedy minął dzień Nowego Roku 1945, sowieckie wojsko zbliżało się coraz szybciej do Krakowa. Obóz koncentracyjny w Oświęcimiu był likwidowany przez Niemców, którzy wywozili ludzi i niszczyli dokumenty. Pociągi z więźniami były kierowane do Niemiec. Nam przypadła ostatnia tura ewakuacji.

18 stycznia zaopatrzono nas w prowiant. Przygotowałyśmy nasze plecaki z tą niewielką liczbą rzeczy, jakie każda z nas miała (zabrałam, między innymi, moją poduszeczkę z pierza) i wcześnie po południu uformowano nas w kolumnę marszową.

Nie było jednak rozkazu wyjścia i czekałyśmy wiele godzin. Na początku nie wiedziałyśmy, co się dzieje, później pojawiły się plotki, że kogoś szukają. W końcu, w nocy, rozpoczęłyśmy wędrówkę. Dowiedziałyśmy się, że nie znaleziono poszukiwanej osoby. Kto okazał się nią być? Ni mniej, ni więcej, tylko… Genia, ta sama, która pewnego razu proponowała mi ucieczkę. Wówczas naprawdę uwierzyłam, że jej propozycja była szczera, że należała do tych, którzy cały czas żyli tą *idée fixe*.

Po wielu latach pewna towarzyszka z Rajska odnalazła Genię w Brazylii. Kiedy dowiedziała się, że wyszłam nietknięta z wojennej zawieruchy, płakała ze

wzruszenia. Genia opowiedziała szczegółowo, jak się uratowała: ukryła się w piwnicach, które znała lepiej niż ci, co jej szukali, i spędziła tam wiele dni. Było oczywiste, że nie sympatyzowała z systemem komunistycznym wprowadzonym w Polsce i na miejsce zamieszkania wybrała Brazylię.

Szłyśmy kilka dni i kilka nocy. Czasami na noc umieszczali nas w wielkich spichlerzach. Podczas marszu robiono krótkie postoje. Wiele osób nie wytrzymywało takiego wysiłku – opóźniało się, zatrzymywało albo siadało na skraju drogi. Rozstrzeliwano ich natychmiast. I tak naszą drogę znaczyły niezliczone trupy.

Pewnej nocy, kiedy pozwolono nam spać w stodole, pięć spośród moich towarzyszek z Pflanzenzucht próbowało uciec. Dwie z nich rozstrzelano podczas ucieczki, inną która była ukryta w słomie, zabito wieloma ciosami bagnetów, tylko dwóm udało się ujść z życiem.

Wówczas cierpiałam na bardzo wysoką gorączkę. Z tego powodu straciłam rachubę czasu i nie byłam pewna, jak długo trwał ten pierwszy odcinek ewakuacji. Taka gorączka często towarzyszyła mi w owych latach. Pewnej nocy obudziła mnie Marylka proponując ucieczkę. Mając gorączkę, która musiała być bardzo wysoka, nie mogłam ruszyć ręką ani nogą. Powiedziałam jej wtedy, że nie mogę iść z nią. Rankiem, dzięki szczególnej łasce Bożej, zdołałam wstać i iść dalej.

Znajdowałyśmy się już dosyć daleko od Krakowa i nie towarzyszyły nam teraz sowieckie samoloty. Szłyśmy przez Śląsk, obszar należący do Polski, który podczas wojny został włączony do Trzeciej Rzeszy. W pewnym miejscu czekał na nas pociąg do przewozu bydła. Kazano nam wsiadać.

Edith, o której mówiłam już poprzednio, zaopatrzyła się przed wyruszeniem z Rajska w sanki, żeby w ten sposób rozwiązać problem ewakuacji swojego synka. Bez tego środka transportu malutki, a być może również jego matka, nie zdołaliby się uratować. Niesienie go na rękach albo na plecach było niemożliwe. Szacuję, że dziecko miało prawie pięć lat. Po wejściu do pociągu, moje towarzyszki, widząc, że wagon bardzo się zapełnia i że zabraknie miejsca, odmówiły Edith możliwości zabrania sanek. Błagała zrozpaczona, ale bez powodzenia. W pewnej chwili poprosiła mnie, żebym przyszła jej z pomocą. Zabrałam głos i wymusiłam zabranie sanek, zamykając własnym ciałem kontyngent ludzi przeznaczonych do tego wagonu. Było nas sto dwadzieścia sześć. Kiedy usiadłyśmy na naszych plecakach, nikt nie mógł ruszyć własną nogą tak, żeby druga osoba nie musiała się poruszyć. Dziewczyny, ściśnięte i złe, z wściekłością zwalały całą winę na mnie.

Znowu dostałam gorączki. Pociąg dotarł do granicznego miasta (na granicy do 1939 roku) i Marylka, słusznie uważając, że jest to ostatnia szansa ucieczki i możliwość znalezienia przyjaznego środowiska wśród ludności polskiej, ponownie zaproponowała

mi, żebyśmy uciekały. Wyjaśniłam jej, że w tych warunkach nie mogę i że byłabym dla niej tylko kulą u nogi. Nie poddając się, znalazła inną kandydatkę do tej „przygody" spośród naszych towarzyszek. Obie „wyparowały" z wagonu.

Opowiadano mi później, że dziewczyny dostały się między dwa fronty w sam środek walk, gdzie stanęły twarzą w twarz z sowieckimi i niemieckimi żołnierzami. Spędziły prawie dwa tygodnie kryjąc się w stodołach. Dowiedziałam się, że się uratowały. Wiele lat później, kiedy do Polski jechało kilku przyjaciół, skontaktowali się z Marylką. Ukończyła stomatologię, wyszła za mąż i miała jednego syna. Ta druga dziewczyna również założyła rodzinę.

Rozdział XIX
RAVENSBRÜCK I MALCHOW

Tym pociągiem dotarłyśmy już na północ Niemiec, do Ravensbrück (jak mówiono, był to pierwszy obóz koncentracyjny założony przez reżim hitlerowski), położonego u stóp wzgórza. Codziennie na szczytach łańcucha górskiego rozstrzeliwano skazanych. Egzekucji dokonywano na oczach więźniów, dręcząc ich przy pomocy tego widowiska. Tym, którzy umierali, towarzyszyły modlitwy, odmawiane w ukryciu przez polskie więźniarki.

W Ravensbrück wszyscy pracowali dla zaspokojenia potrzeb wojny, stąd duża liczba warsztatów.

Tam również miały miejsce eksperymenty z przeszczepami kości. Pozbawiano ich więźniów, żeby później wszczepiać je żołnierzom rannym na froncie wschodnim. Poznałam jedną kobietę, ofiarę takiej operacji, która mieszkała niedaleko Rosario, w San Nicolás (Argentyna). Pozbawiono ją piszczeli.

Czekałyśmy dwa lub trzy dni poza obozem. Nie było miejsca, żeby nas w nim umieścić. Stojąc dzień i noc na śniegu, z resztką chleba schowaną jeszcze w plecaku na czarną godzinę, byłyśmy wyczerpane. W końcu otwarto bramę. Dla naszej kolumny, mającej jeden lub więcej kilometrów długości, zwolniono

ogromny barak z czteropiętrowymi pryczami. Zajęłyśmy je my.

Dostarczono nam chleba. W naszej grupie Pflanzenzucht pojawił się nieoczekiwany problem. Osoby, które ze względu na swoją rolę i funkcję powinny zająć się krojeniem chleba, odmówiły. Nikt nie chciał się narażać. Poproszono mnie, żebym go rozdzieliła. Zgodziłam się i miałam, mówię to z tymi samymi emocjami, jakie zawsze budzi we mnie to wspomnienie, satysfakcję, że nikt się nie skarżył. Nikt nie zarzucił mi niesprawiedliwości przy podziale.

Czekałyśmy z utęsknieniem, aż z kuchni przyniosą zupę. Tyle czasu bez żadnego gorącego jedzenia. Za jej przyniesienie odpowiedzialne były jakieś Rosjanki. Po przybyciu przed barak zaczęły się bić między sobą, żeby przejąć nasz termos i incydent zakończył się wylaniem zupy na śnieg. Przyjęłyśmy ten fakt z rezygnacją – nie wiemy, co mogło się między nimi wydarzyć.

W Ravensbrück otrzymałyśmy przy rejestracji nowy numer, tym razem bez tatuażu. Mój był 100959.

W tym obozie pozostałyśmy niewiele czasu. Różne kobiety z naszej grupy spotkały tutaj znajomych i przyjaciół. Sporo osób zdecydowało się tutaj pozostać (chociaż było to zabronione), uważając, że wolność przyjdzie tam szybko. Linia frontu była blisko.

Szwecja zaoferowała Niemcom przyjęcie więźniów w obliczu ewentualnej ewakuacji obozu. Krążyły plotki, że dwa okręty pełne ludzi, w drodze do

Szwecji zostały zatopione na Bałtyku przez hitlerowców. Po zakończeniu wojny wielu Polaków znalazło gościnne przyjęcie w tym kraju.

Grupa z Rajska uległa znacznemu zmniejszeniu i oddzielonych od tłumu, wywieziono nas pociągiem towarowym do Malchow w Meklemburgii (północny wschód Niemiec). Obóz koncentracyjny był wyraźnie dziwny. Niewielki. Nie spotkaliśmy żywej duszy. Mówiono, że wcześniej były tam Żydówki, które zniknęły i nic nie było o nich wiadomo. Zajęłyśmy dom (nie barak) z zaledwie dwupiętrowymi łóżkami. Nie miałyśmy nic do roboty. Nie było praktycznie żadnych wygód. Do mycia używałyśmy chloru w proszku, który znalazłyśmy w dużej ilości w beczce.

W Malchow cierpiałyśmy prawdziwy głód. W kuchni nie było żywności ani opału. Raz dziennie próbowano dawać nam filiżankę, czasami napełnioną do połowy, zupy albo herbaty, która była ledwo letnia. W zupie kilka wysuszonych liści warzyw i dużo wody. Towarzyszyła temu jedna cienka kromka chleba dziennie. Niekiedy zdesperowane kobiety z SS zabierały dziewczyny do lasu, żeby zaopatrzyć się w suche gałęzie do gotowania. Prawo surowo zabraniało ruszać lasu.

Jednego z tych dni Nusia krążąc w okolicach kuchni znalazła ziemniaka. Umyła go starannie, osuszyła i pokroiła na cienkie plasterki, dając je Eli i mnie. To była uczta. Było przyjemnością móc gryźć coś twardego i zjeść wspaniałego surowego ziemniaka. Czaiła się jednak groźba szkorbutu.

Folklor całej sytuacji stanowiły „zajęcia" na temat przygotowywania różnych dań wykwintnej kuchni. Były to rozmowy, które dzieliły „publiczność" na dwie grupy: ludzi, których fascynowało mówienie na ten temat oraz tych, którzy go nienawidzili. Należałam do pierwszej z tych grup. Słuchając specjalistek w tej dziedzinie, uczyłam się czegoś, wyobraźnia pracowała i było to zabawne.

Dom, który zajmowałyśmy, znajdował się poza zasięgiem podwójnych drutów znakomicie strzeżonego, a później ewakuowanego ośrodka przemysłowego. Jeden raz zawieziono nas tam, żeby nazbierać ziół służących do robienia naparów. Nikt nie pilnował. Przeszłyśmy przez dwa opuszczone stanowiska kontrolne i znalazłyśmy się w parku pełnym wzgórków, które maskowały wejścia do fabryki pracującej pod powierzchnią ziemi. W centrum tego „parku" znajdowało się głębokie jezioro, źródło energii. Chodząc wyasfaltowanymi drogami słuchałyśmy dziwnego dudnienia naszych kroków. Później dowiedziałyśmy się, że był to ośrodek produkcyjny straszliwych V1 i V2, pocisków, które spadały na Anglię, i w których Hitler pokładał całą nadzieję na wygranie wojny. Tutaj należy dodać, że Niemcy pracowali w ukryciu nad bombą atomową, odnosząc pewne sukcesy. V1 i V2 miały posłużyć do przeniesienia broni atomowej do punktu „x" (w tej dziedzinie wyścig zbrojeń wygrali Amerykanie i dlatego zwyciężyli w wojnie).

Rozdział XX
LIPSK

Był koniec marca 1945 roku, kiedy wsadzono nas do pociągu elektrycznego jadącego w kierunku południowym. Naszym nowym celem było miasto Lipsk. Umieszczono nas w fabrycznym budynku, gdzie zgromadzono wiele kobiet przywiezionych z różnych obozów koncentracyjnych z Polski, między innymi, z Majdanka. Zapytałam o moją przyjaciółkę Halinę, która podczas okupacji Lwowa przez Niemców w 1941 roku została aresztowana i wywieziona do tego obozu. Nie usłyszałam żadnej odpowiedzi, ale po kilku minutach, co było dla mnie wielką niespodzianką, zjawiła się ona sama osobiście. Było to wzruszające spotkanie, jak z powieści.

Dowiedziawszy się o głodzie, jaki przeżywałyśmy, zatroszczyła się o jak najlepszy prowiant. Mogła to zrobić, bo była kapo, której podlegała Brotkammer, to znaczy, spiżarnia. Było to opatrznościowe wydarzenie. Przez dziesięć dni pobytu w tym miejscu odzyskiwałyśmy siły, aby żyć dalej. Z Haliną opowiedziałyśmy sobie nasze przeżycia podczas tych burzliwych czterech lat, powiadamiając się wzajemnie o losie przyjaciół i kolegów i świętując nasze spotkanie. Było to trochę jak powrót do domu.

14 kwietnia ewakuowano cały znajdujący się tam kontyngent. A zatem zarówno my, z Pflanzenzucht,

jak i Halina ze swoją grupą z Majdanka, szłyśmy w kolumnie liczącej kilka kilometrów długości.

Szłyśmy przez saskie ziemie, przekraczając rzeki, zmieniając kierunek. Szłyśmy dalej… nikt nie wiedział dokąd, w jakim celu… z jakiego powodu… Szli wszyscy „niemieccy niewolnicy": ocaleli więźniowie z niezliczonych obozów koncentracyjnych, wywiezieni na roboty przymusowe, jeńcy wojenni, oficerowie i podoficerowie… Ci ostatni, chronieni międzynarodowymi konwencjami genewskimi, cieszyli się pozornie jakimś stopniem bezpieczeństwa.

Szliśmy jak duchy – wszyscy się przemieszczali. Nigdzie nie było stałego miejsca, gdzie mogłybyśmy pozostać. Było szaleństwem rozpoczynanie tej chaotycznej migracji bez żadnego celu, na szybko zmniejszającym się terytorium pod naciskiem jednego frontu na wschodzie a drugiego na zachodzie. Zbliżały się one do siebie coraz szybciej.

Szłyśmy w słońcu i w deszczu. Spałyśmy na pastwisku, w błocie, przy drodze. Kiedy przy pewnej okazji zatrzymałyśmy się na leśnej polanie, jedna z kobiet z grupy Haliny, która zrobiła kilka kroków w kierunku zarośli, zbierając suche gałązki na podpałkę, została postrzelona przez jakiegoś esesmana. Dostała w brzuch. Cierpiała straszliwe bóle i zmarła kilka godzin później.

Podczas tej obowiązkowej „przechadzki" widziałyśmy ludzi wyglądających jak żywe szkielety. Pamiętam tych, w łachmanach mundurów, którzy wyglądali

tak nędznie, że wydawało się niewiarygodne, że nadal idą. Byli to Polacy. Kiedy przechodzili, powiedzieli nam, że mimo wszystko, mogą uważać, że mają się dobrze, dlatego że inne grupy pozamykano w barakach, które później podpalono.

W miarę upływu dni, w trasie, dzielono nas na coraz mniejsze grupy i w ten sposób oddzieliłyśmy się od grupy Haliny. Zostałyśmy z wieloma Rosjankami i Żydówkami. Ewidentny był rosnący niepokój wśród ludzi z gestapo. Mężczyźni i kobiety z SS dezerterowali. Sama nazwa Armii Czerwonej wywoływała w nich panikę.

Rozdział XXI
WYZWOLENIE, WURZEN AN DER MULDE

27 albo 28 kwietnia szłyśmy razem z dwoma tysiącami kobiet – Rosjanki, Żydówki i nasza niewielka grupa licząca około trzydziestu Polek z Oświęcimia, to znaczy, z Pflanzenzucht. Esesmani umieścili nas na noc w stodole na ogromnym polu. Ostatnim chwilom dnia towarzyszyły jakieś przepychanki. Żydowska kapo uniemożliwiła esesmankom zamknięcie naszego miejsca noclegu, dlatego że miała w swojej wyobraźni żywą wizję podpalonych baraków z ludźmi w środku.

Następnego ranka, kiedy się obudziłyśmy, stwierdziłyśmy zaskakującą nieobecność naszych stróżów. Zniknęli. Łańcuchy spadły same, byłyśmy wolne. Wreszcie nadszedł tak bardzo oczekiwany dzień!

Wokół nas zielona równina z obszernym horyzontem. Nie było widać nic i nikogo. Świecące słońce, czyste, rześkie powietrze. Niesamowita cisza… spokój!

Rosjanki i Żydówki udały się na wschód, żeby spotkać swoich wyzwolicieli – Armię Czerwoną. Nasza mała grupa została. Co miałyśmy zrobić? Dokąd pójść? Zbliżające się wojsko było dla nas synonimem ucisku, a ich obietnice wolności były fałszywe i oszukańcze. Wywiązała się dyskusja. Była nam znana przyszła sytuacja polityczna Polski, ustalona już przez

międzynarodowe konferencje w Teheranie i w Jałcie, bez zgody narodu polskiego.

Trzecia część terytorium narodowego – część wschodnia – z moim rodzinnym miastem Lwowem, została włączona do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, a w Warszawie ustanowiono marionetkowy komunistyczny rząd podległy Rosji. Czy po to odrzucałyśmy jeden ucisk, żeby wpaść pod inne jarzmo? Wybrałyśmy kierunek na zachód.

Jak miałyśmy się zorganizować, skoro nie wszystkie chciały iść w nieznane?

Niektóre z nas musiały przejąć inicjatywę, żeby spotkać pierwszy posterunek amerykańskiej forpoczty, zarejestrować naszą grupę, wrócić i zaprowadzić w to miejsce wszystkie pozostałe. We cztery podjęłyśmy się tego zadania.

Zaczął się dla nas inny marsz. W drodze spotykałyśmy się z wieloma ludźmi mówiącymi wszystkimi językami. Wszyscy poruszali się w najróżniejszych kierunkach, w podobnym do naszego poszukiwaniu swojego przeznaczenia. Nawiązałyśmy interesującą rozmowę z grupą Francuzów, wywiezionych przymusowo do pracy w niemieckim przemyśle. Rozumieli sytuację Polaków, którzy pod koniec wojny, walcząc na wszystkich frontach po zwycięskiej stronie aliantów, ostatecznie przegrali. Udzielili nam informacji, które pozwoliły nam następnego ranka, obrać właściwy kierunek. I tak w południe dotarłyśmy do Wurzen an der Mulde.

Po przedstawieniu się dowództwu alianckiemu i wytłumaczeniu im, kim jesteśmy, poprosiłyśmy o pomoc w dotarciu do Francji. Odmówiono nam, ale obiecano zakwaterowanie i żywność dla całej grupy. Na początku umieszczono nas w prywatnych domach i podarowano nam paczki z żywnością i papierosami.

Po tak długim czasie była to pierwsza noc, którą spędziłyśmy z takimi wygodami. Kąpiel w wannie była niewyobrażalnym luksusem. Wygodne łóżko z piękną, nakrochmaloną białą pościelą. Rano gospodarze podali nam śniadanie i rozmawiając z nimi zdałyśmy sobie sprawę, że w ogóle nie mogą zrozumieć naszej sytuacji.

Kiedy należało wracać w poszukiwaniu reszty kobiet z grupy, okazało się, że dwie spośród moich towarzyszek odmówiły. Niespodziewana i nieprzyjemna chwila. Na szczęście jedna zaoferowała się mi towarzyszyć. Te, które zostały „zmusiłyśmy" do przygotowania wszystkiego, co potrzeba, na przyjście całej grupy.

Ponownie rozpoczęłyśmy forsowny marsz. O północy powróciłyśmy już do miejsca, gdzie czekała na nas reszta. Ku naszemu zdziwieniu zastałyśmy nasze towarzyszki całkowicie pochłonięte sztuką kulinarną. Noc była zupełnie ciemna, na krok nie było nic widać. Bezksiężycowe i bezgwiezdne niebo. Tylko w oddali widać było światła i słychać odgłosy walk. Należało jak najszybciej stamtąd odejść. Zmobilizowałyśmy wszystkie do natychmiastowego wymarszu. Jedna z dziewcząt wyszła ze stodoły. Wołałyśmy ją długo,

ale nie odpowiadała. Trzeba było uniknąć spotkania z pierwszymi emisariuszami Armii Czerwonej, jadącymi na motocyklach. Jeden z nich schwytał nas i zaczął wypytywać, a dowiedziawszy się, że jesteśmy Polkami, wskazał nam przeciwny kierunek. Wykręciłyśmy się z tej sytuacji i oddaliwszy się od niego, szłyśmy z większym pośpiechem naszą drogą.

Rankiem pierwszego maja zatrzymałyśmy się w lesie na odpoczynek. Był wspaniały wiosenny dzień. W całej przyrodzie budziła się pełnia życia. Podjęcie marszu na nowo sporo, naprawdę sporo mnie kosztowało. Siłą woli trzeba było pokonać ból w nogach.

Wcześnie, przed południem, ponownie dotarłyśmy do Wurzen an der Mulde. Nasze dwie towarzyszki już na nas czekały. Władze amerykańskie przyznały nam obszerną salę w pałacyku będącym główną kwaterą Wehrmachtu i ofiarowały nam liczne skrzynie z żywnością. Ja, myśląc o jak najszybszym marszu dalej na zachód, zamierzałam natychmiast zdobyć odpowiednie przepustki. Jednakże z powodu ogromnego zmęczenia przełożyłam sprawę na następny dzień.

Nowy dzień zastał miasto w niesamowitej ciszy i z opustoszałymi ulicami… trochę znajomy widok, już raz mi się coś takiego przydarzyło… Miasto czekało na swojego nowego pana. Wkraczały sowieckie wojska, żeby zająć miejsce okupanta. W nocy Amerykanie się wycofali. Stało się tak dlatego, że uległy zmianie linie demarkacyjne stref okupacyjnych każdego z aliantów.

Rozdział XXII
NOWA OKUPACJA SOWIECKA

Ponownie znalazłam się pod panowaniem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Strach zapanował nad miastem. Rozpoczęło się polowanie na esesmanów. Jedną z kobiet, strażniczkę z SS, zamknięto w wielkiej klatce, którą zaczęto obracać, w ten sposób torturując tę kobietę. Miało to miejsce pośrodku wielkiego podwórza, gdzie mieszkałyśmy.

Nasza sytuacja uległa natychmiastowemu pogorszeniu. Rosjanie zajęli pałacyk stając się naszymi sąsiadami. Jakiś działacz odwiedził nas, zapraszając na bal. Bardzo nalegał. Sytuacja stawała się przykra, a wreszcie trudna. Na szczęście jedna z naszych towarzyszek, starsza kobieta, znała bardzo dobrze język rosyjski. Przed pierwszą wojną światową, jak wielu Polaków, mieszkała z rodzicami w Rosji. Mieli szczęście, że uciekli bez szkody od rewolucji bolszewickiej i powrócili do Polski. Zwracając się do swojego rozmówcy z zachowaniem dużej dozy dyplomacji, wytłumaczyła nas i dzięki temu ten człowiek przestał nas zapraszać. Niemniej jednak, odwiedzał nas i dowiedziawszy się o naszych planach próbował przekonać nas o dobrodziejstwach systemu panującego w Rosji.

Zdając sobie sprawę z naszej odmowy, przytoczył całą baterię mocnych argumentów ideologicznych, prorokując, że gdziekolwiek byśmy się nie udały, ze-

tkniemy się z tym systemem, ponieważ w ten sposób działają zasady determinujące historię. Światowa rewolucja marksistowska zatryumfuje na całym świecie. Ileż razy w ciągu następnych dziesiątków lat przypominałam sobie ślepe, niezłomne przekonanie tego człowieka, które pozostaje obecne u tak wielu ludzi, których poznałam!

Naszą wielką przewagą i satysfakcją było posiadanie w naszym mieszkaniu bardzo dobrego aparatu radiowego. W ostatnich dniach wojny byłyśmy dobrze poinformowane. I tak dowiedziałyśmy się 5 maja o ewentualnej akceptacji przez Niemcy warunków postawionych przez aliantów w celu zakończenia wojny. Bezwarunkowa kapitulacja została podpisana dnia 8 maja 1945 roku.

Tego samego dnia słuchałyśmy przez radio relacji z otwarcia założycielskiej konferencji „Narodów Zjednoczonych" w San Francisco (USA). Podczas tej konferencji zwracało uwagę stwierdzenie pustego fotela. Należał do przedstawiciela Polski. Co się stało? Alianci mieli właśnie wycofać uznanie dla konstytucyjnego rządu polskiego (który przez całą wojnę działał w Londynie), a nie przyznali go jeszcze samozwańczemu komunistycznemu rządowi komitetu lubelskiego. Wielka zdrada, zniewaga Narodu i wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość! Przykład zepsucia zasad i wartości „cywilizowanego świata zachodniego".

Koncert na otwarcie tej sesji zwycięskich narodów został wykonany przez słynnego polskiego pianistę Artura Rubinsteina, Żyda, człowieka wiernego

narodowi, który mu udzielił schronienia. Wymowny wybór dzieła do odegrania podczas tego wydarzenia był tak zwracający uwagę, że wzruszył nas wszystkie. Słuchałyśmy przez radio jak obecni delegaci nagrodzili go niekończącymi się oklaskami. Rubinstein odegrał poloneza heroicznego Fryderyka Chopina.

Szybko nadeszły rozkazy. Za dwa tygodnie miał jechać pociąg do Polski. Wszystkie pochodzące stamtąd osoby musiały zapisać się na tę podróż. Rozpoczęła się dyskusja w naszej grupie. Większość kobiet miała dokąd i do kogo wrócić i zdecydowały się na podróż do Polski. We cztery postanowiłyśmy obrać kierunek na zachód.

Jedna z naszej czwórki, Hanka, utrzymywała, że należy zaopatrzyć się w jakąś przepustkę i udała się odważnie do komendanta miasta. Poprosiła o pisemne zezwolenie, żeby przejść na drugą stronę rzeki Muldy, gdzie stacjonowali Amerykanie. Komendant, który ewidentnie wypił za dużo, odmawiał zgody na przepustkę. Hanka jednak z dużą determinacją „zmiękczyła" go i w ten sposób wydał jej przepustki, podkreślając jednak, że te „bumażki", nie mają żadnej wartości. Hanka wróciła zadowolona z czterema „papierkami".

Rozdział XXIII
KIERUNEK: ZACHÓD

Pożegnałyśmy się z naszymi towarzyszkami które zamierzały wsiąść do pociągu jadącego do Polski. Nasze drogi rozeszły się po prawie trzech latach wspólnego życia. Wrażenie pustki i poczucie smutku sprawiły, że włożyłyśmy plecaki na ramiona i wzywając Imienia Pana i Jego ojcowskiej opieki, wyszłyśmy z pałacyku.

Przeszłyśmy kilka ulic i znalazłyśmy się na przyczółku mostu na rzece Muldzie, stanowiącej linię demarkacyjną między sowiecką i amerykańską strefą okupacyjną. Mostu pilnowało dwóch sowieckich żołnierzy. Pierwszy, przy wejściu, palił i pluł do wody i minęłyśmy go w taki sposób, że nawet nie zdał sobie z tego sprawy. Drugi znajdował się w połowie mostu pomagając jakiejś osobie z wózkiem, którego jedno z kółek wpadło w dziurę na moście. Tego również minęłyśmy tak, że nic nie zauważył. Zeszłyśmy z mostu na łąkę i odetchnęłyśmy głęboko z ulgą (pamiętajcie, że na naszych bumażkach brakowało pieczątki). To, co wydawało się nam najtrudniejsze, osiągnęłyśmy bez problemów.

Teraz czekał nas kolejny etap wejście na bardzo wysokie, umieszczone pionowo żelazne schody prowadzące do innego mostu kolejowego, zniszczonego

bombardowaniami, gdzie straż trzymał żołnierz amerykański.

Na pięknej łące, zamkniętej z lewej strony mostem, a z prawej porośniętym lasami wzgórzem, siedziało wiele osób czekając na sygnał, żeby wejść na most.

My, bardzo zdecydowane, z naszym doświadczeniem w pokonywaniu trudności, nie zamierzałyśmy tracić ani minuty na czekanie. Weszłyśmy na schody: ja pierwsza, a Hanka ostatnia. Kiedy weszłam na górę, strażnik zatrzymał mnie pytając, czego chcemy. Iść do Francji, brzmiała moja odpowiedź. Wtedy zapytał jakiej jesteśmy narodowości. Polskiej – odpowiedziałam. Na to, niespodziewanie ostro krzyknął po niemiecku: „Raus nach Osten!", co znaczy: „Wynocha na wschód". Uspokoiłam go, żeby się tak nie spieszył. Jego zachowanie było dla mnie niczym kubeł zimnej wody. Tymczasem na górę weszła już Hanka. Wydobyła bumażki i pokazałyśmy je. Strażnik, udając, że rozumie coś po rosyjsku, skonsultował każdy papierek z każdą z nas, sprawdzając, dokąd chcemy się udać. Podałyśmy nazwy różnych francuskich miast i w końcu przepuścił nas.

Tym razem oddychałyśmy głęboko, ale ze smutkiem, widząc, w jakiej pułapce umieścili nas nasi „sojusznicy", z jaką łatwością wypierali się swoich zobowiązań, zdradzając nas, traktując jak towar cały polski naród, jego wolność, jego niepodległość i jego ziemię. Ten sam los co nas, Polaków, dotknął też inne narody z tej części Europy.

Schodząc z mostu natknęłyśmy się na tłumne obozowisko ludzi wszystkich klas, języków i pochodzenia. Pamiętam, że w tym miejscu byli ludzie, którzy wzbudzali w nas strach. Na przykład człowiek, z którym przyszło nam rozmawiać, miał wzrok mordercy. Wydawało się, że w pewnej chwili rzuci się na którąś z nas, żeby ją udusić. To było okropne, naprawdę się przestraszyłam. Na szczęście zdobyłyśmy znakomite miejsce do spania – punkt sanitarny.

Trzeba było jednak ruszyć pośród ludzi, żeby zdobyć informacje i dowiedzieć się, jakie nowości przynosi każdy dzień. I tak dowiedziałyśmy się, że w tych dniach przez całe Niemcy przechodzą oficerowie II Korpusu Wojska Polskiego pod dowództwem generała Andersa, rozlokowanego we Włoszech. Jako emisariusze mieli oni szukać Polaków, żeby zaoferować im pomoc. Najpraktyczniejsze wydawało mi się napisanie listu do generała i wysłanie go za pośrednictwem którejś z tych osób, które tak czy inaczej miałyśmy zamiar spotkać.

List mówił o naszej sytuacji podczas wojny oraz w chwili obecnej, a także o zamiarze kontynuacji naszych zobowiązań wobec Ojczyzny. Z łatwością znalazłyśmy dwóch oficerów i wręczyłyśmy im pismo. W ciągu kilku następnych dni zawieziono nas do Lipska, gdzie teraz, już po zakończeniu wojny, znajdowała się amerykańska strefa okupacyjna. Tu, w niemal opustoszałych obiektach wojskowych, wreszcie poczułyśmy się… spokojne i bezpieczne.

Z Lipska przewieziono nas odkrytymi samochodami, prowadzonymi przez bardzo dobrych czarnoskórych kierowców. Z północnego wschodu przewędrowaliśmy na północny zachód Niemiec, do angielskiej strefy okupacyjnej, do Nottheim koło Döttingen. Znajdował się tam obóz polskich uciekinierów, działający przy pomocy rozporządzeń i personelu UNRRA. Była to instytucja utworzona *ad hoc* w celu uporządkowania panującego chaosu i stworzenia fizycznych warunków, aby ludzie poszukiwali i znajdowali swoje „miejsce".

Obóz był przepełniony, wszyscy znajdowali się w drodze na inne szerokości geograficzne. Zaczęłyśmy wówczas nowy zmilitaryzowany etap – obowiązywały reguły umożliwiające wspólne życie. Stamtąd wysłałam listy do Londynu, do przyjaciół, którym wypadło przeżyć wojnę w Albionie, a Hanka napisała do swojego wuja we Włoszech. Inny jej wuj spędził wojnę w oflagu, obozie dla jeńców wojennych w randze oficera, w Murnau, na południu Niemiec.

Nasz niespokojny duch nie pozwalał nam usiedzieć w spokoju. Nie czekałyśmy, aż ktoś rozwiąże za nas nasze sprawy.

Rozdział XXIV
PODRÓŻ DO MURNAU

Hanka i ja zdecydowałyśmy się opuścić obóz (było to zabronione) i udać się do Murnau. Przyłączyła się do nas jedna kobieta, oficer podziemnej armii, która w poprzednim roku uczestniczyła w powstaniu warszawskim. Ci, którzy uszli z życiem z tej klęski, zostali wzięci do niewoli jak ona. Nusia i Hela, które były z „naszej rodziny", wolały zostać na miejscu. Później dowiedziałam się, że pierwsza dotarła do Anglii, a druga do Holandii, gdzie założyły rodziny.

Nie jestem w stanie naszkicować tego „nowego" etapu mojego życia z następującymi po sobie szczegółami. W mojej pamięci pozostały tylko epizody, fragmenty, ale najważniejsze było wspaniałe uczucie wolności.

W Nottheim wsiadłyśmy do pociągu pasażerskiego. Jechał pusty, o biletach… nie było mowy. Zostawił nas w jakimś miejscu. Musiałyśmy przejść przez ładną, czystą i spokojną wioskę. Wszędzie z łatwością spotykałyśmy Polaków. Udzielali nam wsparcia. I tak poznałyśmy młode małżeństwo (robotnicy przymusowi), którzy ugościli nas tuczonym na zimę królikiem. Otworzyli butelkę i zorganizowali prawdziwą ucztę. Oprócz tego hojnie uzupełnili nasze zapasy.

Ruszyłyśmy w dalszą drogę. Jakże różny był ten marsz od poprzednich. Czułam się taka szczęśliwa! To życie i radość z wolności były czymś sensacyjnym, były wyjątkowym, cudownym, nieocenionym, niepowtarzalnym doświadczeniem. Naprawdę, żeby opisać to właściwie, trzeba by było mieć duszę i talent poety. Otaczała nas kwitnąca wiosna z upajającym aromatem kwiatów, radosnym śpiewem ptaków i… pokojem! Ulice były opustoszałe. Żeby odpocząć siadałyśmy na krawężniku.

Wypoczynek w najlepszym sensie tego słowa: bez zobowiązań, bez obowiązków, bez ograniczeń, bez pieniędzy. Czułyśmy się wolne i bezpieczne.

Szukałyśmy transportu, który zawiezie nas na południe. Na jakiejś stacji wsiadłyśmy do liczącego wiele wagonów pociągu, wiozącego w środku żelazne sztaby. Umieściłyśmy się bardzo wygodnie. Jedyne i do tego nielegalne pasażerki.

Po południu pociąg zatrzymał się w szczerym polu i ku naszemu zaskoczeniu pojawili się, jakby na coś czekając, amerykańscy żołnierze w towarzystwie, ni mniej, ni więcej, tylko dwóch Żydów w ubraniach w szaro-niebieskie pasy z Oświęcimia. Rozdzielali jedzenie. Podarowali nam skrzynki żywności, papierosów i słodyczy. To było sympatyczne spotkanie. Wymieniłyśmy informacje, żeby być na bieżąco, jeśli chodzi o wydarzenia, i pociąg ruszył w dalszą drogę. Słońce już zachodziło, kiedy nagle ktoś przeskoczył z innego wagonu do naszego. Był to czarnoskóry amerykański żołnierz. Trochę się przestraszyłyśmy.

Rozpoczął konwersację, ale zdał sobie sprawę, że odpowiadamy niechętnie. Pozdrowił nas i dalej skakał między jadącymi wagonami. Przypuszczałyśmy, że spełnia jakieś funkcje kontrolne. Trzeba przyznać, że ci ludzie cieszyli się dobrą sławą. Zachowywali się jak angielscy dżentelmeni.

Później jechałyśmy ciężarówką pełną pni drzewnych. Siedziałyśmy bardzo wysoko, na pniach, zadowolone, że z tej wysokości możemy podziwiać krajobraz, rozkoszować się wiatrem i słońcem. To zadowolenie, które odczuwałyśmy wówczas prowadząc „włóczęgowski" styl życia, pozwalało mi dobrze zrozumieć sytuację ludzi, którzy po wojnie nie chcieli albo nie mogli wrócić do „normalności". Czytając o dziele ojca Piotra, założyciela wspólnoty Emaus, można się było dowiedzieć, jak wybitni ludzie: intelektualiści, fachowcy, czy artyści żyli pod mostami Paryża. Nie znajdowali dla siebie miejsca w zorganizowanym i pełnym rutyny życiu, wyżej ceniąc bezwarunkową wolność i nie dowierzając strukturom społecznym.

W drugiej połowie czerwca dotarłyśmy w końcu do Murnau znajdującego się blisko granicy z Włochami. Kobieta z Warszawy pożegnała się z nami, a Hanka i ja ruszyłyśmy na poszukiwanie jej wuja. Znalazłyśmy go bez trudu. Zatroszczył się o znalezienie nam miejsca, gdzie mogłyśmy zamieszkać i zaopatrzył nas w rzeczy, których, jak sądził, brakowało nam.

Co za paradoks! Do tej chwili brakowało nam wszystkiego i nie było nam brak niczego, a przy

powrocie do normalnego życia było potrzebnych tak wiele rzeczy. Egzystencja tak bardzo się komplikowała. Po pierwsze trzeba było zdobyć odzież, żeby ubierać się jak ludzie, co stanowiło bardzo poważny problem. Dobry wujek umiał jednak zadziałać i wkrótce miałyśmy ubrania. Niezbędne były również odwiedziny u fryzjera.

To, co się wtedy wydarzyło u fryzjera, pozostało dobrze wyryte w mojej pamięci. Matka przyprowadziła sześcio czy siedmioletnie dziecko do strzyżenia. Fryzjerka ostrzygła je bardzo krótko i matka, zadowolona, powiedziała do niego: „Teraz dobrze wyglądasz, bardzo dobrze, jak Hitlerjugend" (hitlerowska organizacja młodzieżowa). Uderzył mnie narodowosocjalistyczny duch tej kobiety, która w moich oczach była przedstawicielką narodu niemieckiego odpowiedzialnego za ogromną tragedię jaką przyniosła druga wojna światowa. Zasadnicze pytanie, które zadawali sobie wówczas i wciąż zadają sobie ludzie, brzmiało: „Czy wszystko, co robił ten naród, dokonując zbrodniczej masakry ujarzmionych narodów, robił świadomie, czy też nie wiedział, co robi?". To doświadczenie wywołało we mnie niesmak i moje pragnienie opuszczenia jak najszybciej niemieckich ziem znacząco wzrosło.

Do miasta Murnau przybywali ludzie ze wszystkich stron i powstał tam ważny ośrodek przekazywania kontaktów, informacji i poszukiwania osób. W lipcu przybyli z Włoch, z II Korpusu Wojska Polskiego, artyści ze swoim teatrem i z biskupem polowym, X. Gawliną. Wizyta była wzruszająca. Teatr, chór i

msze z homiliami biskupa głęboko nas poruszyły. Wiele lat później, podczas duszpasterskiej wizyty w Argentynie, biskup Gawlina ochrzcił dwoje spośród moich dzieci…

Odwiedzający zawiadomili Hankę i mnie, że zabiorą nas do Włoch, gdzie czeka na nas inny wuj Hanki. Moja radość była wielka. 9 lipca przekroczyłyśmy Brenner, alpejskie przejście graniczne, i udałyśmy się do Włoch. Tutaj dołączyłyśmy do szeregów kobiecej jednostki II Korpusu generała Andersa.

Był to już paszport do nowego życia. Za nami pozostawał czas wojny, uwięzienia, tortur i wszelkiego rodzaju cierpień, ewakuacje i wędrówki bez celu, strach, niepewność i wieczne niebezpieczeństwo. Nadszedł czas podejmowania zobowiązań, jednak bez całkowitej pewności, w jakim porcie zarzucimy swoją kotwicę. Kiedy, jak i dokąd przeznaczenie lub los zaprowadzi nas, abyśmy tam na stałe zapuściły korzenie… Już od dłuższego czasu pojawiało się wiele znaków zapytania, które obecnie stawały się niezwykle aktualne.

Rozdział XXV
DEMOBILIZACJA

Kończę te wspomnienia na temat cierpień, jakie przyniosła druga wojna światowa, przywołując szlachetne i bohaterskie postawy, do których zdolna była istota ludzka, oddając się obronie swojej Wiary, Ojczyzny i bliźniego. Niektóre z tych wyraźnych przykładów będą zawsze wysławiane przez historię. Inne, nie tak znane, nagrodzi Bóg, a ludzie będą o nich pamiętać w życzliwych domach.

Nowy, szczególny charakter mojego spojrzenia na świat i na życie po wojnie, wymaga innego krótkiego komentarza.

Bezinteresowność i altruizm zostały zasiane w moim sercu przez rodziców i były busolą mojego postępowania. Niemniej jednak, moja zdecydowana pogarda dla spraw materialnych była wynikiem nienormalności tych długich lat wojennych, które pokazywały, jak wszystko, co poczęło się w ludzkim umyśle i zostało wykonane ręką człowieka, trzeszczy i pada niczym domki z tektury. Zważywszy na kruchość tych rzeczy, czy miały one jakąkolwiek rzeczywistą wartość?

Wówczas, doświadczywszy szalonej radości, zachwycającego postrzegania wolności na scenie cudownej wiosny, zaczynałam, krok po kroku, zdawać sobie

sprawę, że wchodzę w nowy i nieznany mi świat. Te niecałe trzy miesiące radosnego jeżdżenia po Niemczech dobiegały końca.

Już w Murnau spadły na nas problemy, które były bezpośrednio związane z przyszłością.

We Włoszech zaczął się zarysowywać najbliższy cel Drugiego Korpusu generała Andersa.

Wszystkie rządy walczących państw zaczęły demobilizować swoje wojska. Osoby, które opuszczały szeregi, były przyzwyczajone do zaopatrzenia we wszystkie potrzebne rzeczy, do ciągłego zajęcia, do otrzymywania rozkazów. Teraz nie wiedziały, co robić. Ich dawne miejsce w społeczeństwie było zajęte, a dla nich nie było miejsca. Nie były w stanie rozwiązywać codziennych problemów. Poza tym niemal zawsze cierpiały na zaburzenia systemu emocjonalnego. Te osoby były jak ci ludzie od ojca Piotra, którzy woleli życie pod mostami Sekwany, niż poświęcanie się ponownemu budowaniu swojego życia, bardzo często od samych podstaw. Inne osoby, które również krążyły po Niemczech, wypędzone ze swoich ojczyzn, oddzielone od rodzin i pozbawione dóbr, były zdezorientowane i pokrzywdzone.

W połowie 1946 roku rozpoczęło się przenoszenie Drugiego Korpusu z Włoch do Anglii. Tam zdemobilizowano wszystkie formacje i jednostki Wojska Polskiego, tworząc, na istniejącej podstawie wojskowej, specjalne grupy w celu przygotowania młodych ludzi i zawodowych wojskowych do jakiegoś zajęcia. Innym

problemem było znalezienie pracy i miejsca do osiedlenia. Komplikowało się to dla Polaków i wielu osób z Europy Środkowo-Wschodniej. Dylemat był następujący: wracać do swojej ojczyzny, gdzie zostały ustanowione komunistyczne rządy, czy po prostu zostać na zachodzie. Dramat miał wielki wymiar. System komunistyczny był Polakom dobrze znany. Nie mieli złudzeń, że coś zmieni się na lepsze. Na samym początku samozwańczy rząd w Warszawie ogłosił listy osób, którym zabroniono wjazdu do kraju – otwarcie skazano je na wygnanie. Wówczas osoby te nie miały alternatywy. Taka była również moja sytuacja. Nie mogłam nawet myśleć o powrocie do Ojczyzny.

Rozdział XXVI
POWRÓT DO NORMALNEGO ŻYCIA

Tak we Włoszech, jak w Anglii spotkałam się z wieloma znanymi i zaprzyjaźnionymi ludźmi. W Londynie podjęłam poszukiwania mojego brata przeglądając listy i archiwa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Przekartkowałam je osobiście, ale nie znalazłam żadnej informacji. Czułam się coraz bardziej zagubiona. Moje zdrowie pozostawiało wiele do życzenia. Szybko ujawniły się konsekwencje moich przeżyć. Wszystkich nas opanowała gorycz z powodu „przegrania zwycięskiej wojny". Sytuacja rodzinna wielu osób skomplikowała się rujnując im życie. Cierpienie i opuszczenie panowały w wielu środowiskach.

Musiałam poważnie pomyśleć o mojej przyszłości. Zrozumiałam, że żyjąc samotnie nie jestem w stanie obronić się przed tym nowym i nieznanym światem. Odkryłam, że moje zdolności umysłowe, żeby nadal się uczyć i skończyć studia są zerowe. Fakt, że miałam już słabe zdrowie, też nie pomagał. Jedyną rzeczą, która mi pozostawała i była naprawdę moja, której nie mogli mi wydrzeć ani zrabować, jeśli będę jej bronić, była moja Wiara. Dziękuję za nią tak bardzo, zarówno moim rodzicom, jak i mojej babce, moim krewnym, nauczycielom i środowisku kulturowemu w moim otoczeniu! Bóg będzie nagradzał ich przez całą wieczność, a poza tym da moim rodakom

siłę i mądrość, żeby bronić wiary w obecnych wydumanych i niebezpiecznych dysputach.

Dużo rozmyślałam.

Było oczywiste, że skoro przeżyłam piekło, moje życie powinno czemuś służyć. Zawsze miało wartość samo w sobie. Nie było czymś sprawiedliwym, ani dopuszczalnym oceniać je niżej, uważać, że nie ma już wartości albo już się nie przyda. Nie wolno było pomylić kierunków pomimo tak wielu niepowodzeń. Nie wolno było zaniedbywać obowiązków.

Niemniej jednak, widmo nowych cierpień, których nigdy nie brakuje i które są nieuniknione, paraliżowało mnie i podkopywało moje działania. Podejmowanie życia na nowo niosło ze sobą nieprzewidywalne ryzyko. Wiele mnie kosztowało podjęcie decyzji o wyjściu za mąż i założeniu rodziny. A to było jednak najnormalniejsze i najzdrowsze wyjście.

Założenie rodziny zgodnie z prawami, które Bóg ustanowił dla dobra swojego stworzenia, wydawało się najpewniejsze, najbardziej stabilne i najkorzystniejsze. W moich myślach nie było miejsca na zbyt wiele złudzeń, fałszywych nadziei albo błędnych koncepcji. „Trzeba być realistką" – mówiłam sobie – „I być gotową, aby kochać i poświęcić życie dla dobra drugiej osoby". Być może Pan pobłogosławi mnie dziećmi i pomoże mi je wychować w Jego bojaźni i w miłości mojej umiłowanej ojczyzny. Zaufałam Mu.

Mojego męża Kazimierza przedstawili mi przyjaciele podczas Świąt Bożego Narodzenia 1946 roku, w

Londynie. Był inżynierem po Politechnice Lwowskiej. Pamiętałam go ze środowiska studenckiego. Pracował kilka lat w przemyśle wojskowym w Polsce, a podczas wojny w przemyśle ciężkim w Anglii. Był osobą o takich samych zasadach jak ja, o takiej samej wierze i takiej samej koncepcji życia. Pobraliśmy się 19 marca 1947 roku.

Spośród krajów, które otworzyły się na przyjęcie wygnańców, wybraliśmy Argentynę. Mój mąż podpisał wówczas umowę między przedstawicielami rządu tego kraju (ściśle z generałem Savio), a grupą polskich specjalistów, inżynierów. Wybraliśmy Argentynę, kraj latynoamerykański, katolicki, o hiszpańskich tradycjach (zawsze sympatyzowaliśmy z Hiszpanią).

11 listopada dotarliśmy drogą lotniczą do Buenos Aires, gdzie mieszkaliśmy przez dwa miesiące. Mojego męża wysłano później do Wojskowej Fabryki Broni Przenośnej w Rosario. Przez wiele miesięcy podróżował, żeby zapoznać się z całością wojskowego przemysłu argentyńskiego. Ja byłam zajęta pierwszym dzieckiem. Moja córka urodziła się 9 kwietnia 1948 roku. Później urodziło się trzech synów.

Argentyna okazała się dla nas idealnym krajem do zasklepienia ran i leczenia duszy. Wolność, pokój i uprzejmość ludzi pozwoliły nam z pogodą powracać do normalnego życia. Kochamy ją jako ojczyznę naszych dzieci i jako naszą drugą matkę.

W 1974 roku odwiedziłam Polskę razem z córką. Odbyłyśmy pielgrzymkę do Częstochowy, do jasno-

górskiego sanktuarium Matki Boskiej Częstochowskiej.

Odwiedziny u Matki Bożej obfitowały w przeżycia i wzruszenia. To miejsce jest pełne niezwykle bogatej i bohaterskiej przeszłości i żyje znakomitą teraźniejszością. Wizyta zakończyła się wyjątkowym przeżyciem: o godzinie 21, kiedy jest zamykany kościół, zakonnicy zbierają się w świątyni i przy akompaniamencie dzwonów i dawnych instrumentów śpiewają Apel Jasnogórski, słuchany w całej Polsce. Miałyśmy szczęście uczestniczyć w tej modlitwie.

Chociaż zatrzymałam się w Krakowie, bardzo blisko Oświęcimia, nie odwiedziłam go. Zbyt żywe były jeszcze wspomnienia, bardziej nawet z powodu ówczesnego kontekstu politycznego w Polsce. Było mi zbyt trudno wystawiać się na tego rodzaju próby.

Na miejsce wróciłam 34 lata później, w 1979 roku. Razem z mężem pojechaliśmy przyjąć Jego Świątobliwość Jana Pawła II podczas jego pierwszej pielgrzymki do Ojczyzny. Było to głębokie i wzruszające przeżycie. Mieliśmy szczęście i łaskę przyjąć Komunię Świętą z rąk Najwyższego Pasterza podczas mszy odprawionej przez niego w samym obozie koncentracyjnym (gdzie wcześniej wznosiły się baraki).

Przyjęcie go jako polskiego papieża w tym miejscu i w tych czasach komunistycznego ucisku miało głęboką symboliczną wymowę. Było to jak nagroda z nieba dla umęczonego ludu, moralne i błogosławione w swoich owocach zwycięstwo.

EPILOG

I tak dochodzimy do 1997 roku…

Pomimo licznych i poważnych chorób, mój mąż mógł się poruszać. Pokonując przeciwności, dotarliśmy do wyśnionych ZŁOTYCH GODÓW. Życie pozdrawiało nas zwycięskim uśmiechem.

Uczestniczyliśmy w Mszy dziękczynnej z wielką i głęboką wdzięcznością Panu za te trudne, pełne cierpień, przeciwności i walk o zachowanie prostej drogi lata. Dzięki za tak wiele radości i satysfakcji, za dobrze spełnione obowiązki. Dzięki za dzieci i za dziesięcioro wnucząt, za tak wielu przyjaznych ludzi, za ten cudowny kraj.

A już szczytem radości i wdzięczności było przybycie z Polski Stefana, naszego najmłodszego syna, kapłana, który odprawił tę pamiętną Mszę dla swoich rodziców. Kościół parafialny był pełen przyjaciół i sąsiadów, jednoczących się w radości z nami. W otoczeniu panowały pokój i radość.

Pozostałe godziny tego bajecznego dnia wykorzystaliśmy razem z osobami najbliższymi naszej rodzinie, na rodzinnym i niezapomnianym obiedzie.

Za wszystko *gratias Tibi, Deus, gratias Tibi*.

REFLEKSJA NA ZAKOŃCZENIE

To są moje pamiętniki, moje wspomnienia, moje przeżycia. Jednakże nicią przewodnią całej opowieści są wydarzenia polityczne, które napisały historię. Poddaje się je komentarzom i dyskusjom, dlatego że zależą od postaw i ludzkiej oceny faktów, a zasadniczo od wizji świata i życia, jaką każdy ma wobec tego, co się wydarzyło.

Mówię ze śmiałą szczerością to, co ciśnie mi się na usta, chociaż moje oceny mogą wydawać się wielu osobom „niemodne", przestarzałe, godne naśladowców minionych czasów. Tego rodzaju stwierdzenia popadają, moim zdaniem, w błąd powierzchowności.

Człowiek, kiedy staje – pozbawiony swoich sił i swojej pychy – wobec egzystencjalnego dylematu być albo nie być, odkrywa, że to, „co dawne" jest zawsze nowe, jest zawsze aktualne i… to go ratuje.

POST SCRIPTUM...

Tata niestety nie spisał swoich wspomnień z okresu wojny. Po jego śmierci zdecydowałem przekonać mamę, aby to zrobiła. To co opowiem jest tłem jej książki. Gdy podjęła decyzję przelania na papier swoich wojennych przeżyć, usiadła przy starej maszynie do pisania, którą od lat używała. W tamtym czasie ja miałem moje miejsce pracy u niej w domu. Codziennie wspólnie jedliśmy śniadanie. Potem każdy podejmował własne zadania.

Jej sposób pracy polegał na pisaniu dwóch, trzech stron. Potem poprawki i uzupełnianie. Kolejnie przepisywanie tekstu. Była to praca żmudna.

Kiedyś widziałem ją całą we łzach. Zapytałem: –Co się dzieje? – Nic, nic! – Odpowiedziała.

Tempo maszyny już nie było tak, jak w pierwszych dniach. Kolejne dni, ten sam schemat. Intensywny terkot ustawał magle. Cisza… Patrzę, mama czołem oparta na maszynie, zapłakana. Pocałowałem ją, zamknąłem maszynę i odłożyłem na swoje miejsce. Wyczułem u niej niezmierny ból i cierpienie. Powiedziałem: „Tak nie ma sensu, mamo, tak ja nie chcę".

Przy śniadaniu dużo rozmawialiśmy, jak przedtem każdego poranka. Ona codziennie czytała dwie gazety lokalne i tygodniki z Polski i Londynu.

Uważnie podkreślała dla mnie ważne wiadomości... ale wspomnienia przestała pisać.

Minęły dwa lub trzy miesiące. Pewnego dnia widzę ponownie rozłożoną na stole maszynę do pisania i notatki.

Z naszych rozmów, wyjęła konkluzję: „Będę robić jak powiedziałeś. Jednak tylko do momentu, gdy mi na to pozwolą siły i boleść".

Posuwała się w tej pracy wolno. Obok maszyny do pisania zawsze leżał modlitewnik i różaniec. Tekstu zaczęło przebywać. Metoda ta sama: pisanie poprawianie i przepisywanie.

Pokazałem jej na domowym komputerze, że można pisać i poprawiać na ekranie. Zapaliła się do tego.

W wieku 82 lat zapisała się na kurs informatyczny dla seniorów. Pamiętam jak pierwszego dnia wyszła z domu pełna entuzjazmu z notesami i zapiskami. Pewnego dnia powiedziała, że „nasz komputer jest do kitu! Tam w szkole naciskam klawisz i automatycznie tekst się poprawia". Na co mój brat, Bartek, odpowiedział: „Nie ma sprawy, przyniosę Ci dokładnie taki sam model". Mama znalazła się w grupie pierwszych trzech babci, które skończyły kurs.

Książka pisana na komputerze nabrała tempa. Szybko nauczyła się też korzystać z Internetu i śledzić wiadomości ze świata.

Dodaję to moje świadectwo, aby zaznaczyć że „Wspomnienia" zostały napisane pośród wielu łez,

bólu i modlitwy. Jak ona mówiła, nie jest to powieść z „happy endem". To są bolesne, prawdziwe przeżycia. A pragnę dodać, że podczas całego swego życia, mama, jak i tata nie skarżyli się na swój los. Nie widziałem u nich nienawiści ani żalu do tych, którzy tyle cierpienia sprawili im osobiście, ich rodzinom lub ojczyźnie.

Dzięki MAMO, dzięki!

Pragnę podziękować też memu bratu, Bartkowi za starania, aby doprowadzić to dziedzictwo do trzeciego wydania hiszpańskiego i pierwszego po polsku.

ANTONI MOSZORO

SPIS TRESCI

Przedmowa do wydania polskiego.....5
Przedmowa autorki do wydania polskiego 7
Uwagi do drugiego wydania 9
Przedmowa, czyli kilka słów od autorki… 11
Prolog. Wydarzenia historyczne poprzedzające wojnę 15
Rozdział I. Wybuch wojny.....21
Rozdział II. Aresztowania i deportacje 25
Rozdział III. Mój brat Zbyszek.....29
Rozdział IV. Przeludnienie Lwowa 35
Rozdział V. Przeszłam na drugą stronę.....41
Rozdział VI. Ruch oporu.....43
Rozdział VII. Aresztowanie 47
Rozdział VIII. Niemiecki atak na Związek Sowiecki 53
Rozdział IX. Więzienie Montelupich – pralnia 57
Rozdział X. Boże Narodzenie 1941 roku. 63
Rozdział XI. Wywózka do Oświęcimia 67
Rozdział XII. Przyjazd do obozu zagłady.....71
Rozdział XIII. Życie w Brzezince 75
Rozdział XIV. Wegetacja więźnia 81
Rozdział XV. Pflanzenzucht 87
Rozdział XVI. Ostatnie miesiące obozu w Oświęcimiu 95
Rozdział XVII. Komunistyczny rząd w Warszawie 99

Rozdział XVIII. Ewakuacja obozu w Oświęcimiu 103
Rozdział XIX. Ravensbrück i Malchow 107
Rozdział XX. Lipsk 111
Rozdział XXI. Wyzwolenie, Wurzen an der Mulde 115
Rozdział XXII. Nowa okupacja sowiecka 119
Rozdział XXIII. Kierunek: zachód 123
Rozdział XXIV. Podróż do Murnau 127
Rozdział XXV. Demobilizacja 133
Rozdział XXVI. Powrót do normalnego życia 137
Epilog 141
Refleksja na zakończenie 143
Post scriptum 145

Wydrukowano przez Impresiones Dunken
Ayacucho 357 (C1025AAG) Buenos Aires
Telefax: 4954-7700 / 4954-7300
E-mail: info@dunken.com.ar
www.dunken.com.ar
Grudzień 2016

Ludmiła Maria Dąbrowska urodziła się we Lwowie, starodawnym polskim mieście, w styczniu 1917 r. Podczas jej studiów uniwersyteckich wybuchła druga Wojna Światowa, najazdem na Polskę hitlerowskich Niemiec 1.go września 1939 r. i napadem – wówczas ich alianta – marksistowskiego Związku Sowieckiego, siedemnaście dni później. Ścigana za swoją postawę patriotyczną przez ponurej pamięci sowieckie NKWD, w maju 1940 roku Ludmiła przekracza granicę, przechodząc na niemiecką stronę okupacyjną. Zostaje aresztowana przez Gestapo w Krakowie w styczniu 1941 r. Po prawie dwuletnim pobycie na Montelupich, w listopadzie 1942 r. zostaje wysłana do Oświęcimia, gdzie przebywa do stycznia 1945 r. W transporcie ewakuacyjnym przechodzi przez obozy w Rawensbrück, Malchow i Lipsk aż do uwolnienia w maju 1945 r. Wychodzi za mąż w Londynie za inż. Kazimierza Wiktora Moszoro i emigruje w listopadzie 1947 r. do Argentyny. Gorąca katoliczka, matka czworga dzieci a babcia dziesięciorga wnuków zdecydowała się, na usilną prośbę rodziny i przyjaciół, opowiedzieć niektóre ze swoich przeżyć tego tragicznego okresu historii uniwersalnej.

ISBN 978-987-02-9107-7